rok 1 Warszawa, dnia 1 Maja 1932 r. nr. 3

Z zet

sztuka kultura sprawy społeczne

cena 50 gr. dwutygodnik

POD REDAKCJĄ JERZEGO BRAUNA

Człowiek twórczy

Stwierdzenie stanu krytycznego a nawet zupełnego rozkładu cywilizacji współczesnej, prowadziłoby nas do skrajnego pesymizmu, gdyby nie zaświtała równocześnie ludzkości nowa ideja, zdolna wskazać jej drogę wyjścia z dziejowej matni.

Świat rozumie już dzisiaj — albo raczej przeczuwa — że wobec bankructwa wszystkich wczorajszych prawd i autorytetów, trzeba mu dzisiaj prawdy nowej, dość potężnej, by rozplątać gordyjski węzeł groźnie powikłanych problemów. Uświadamia on sobie to coraz wyraźniej, brak mu jeszcze tylko odwagi i polotu myśli, by rozpocząć solidarne poszukiwanie tej ideji. Dlatego miota się on jeszcze wciąż w gorączkowem, bezmyślnem podnieceniu — od bolszewizmu do faszyzmu, od demokracji do dyktatur, od nacjonalizmu i samowystarczalności, do Ligi Narodów i Pan-Europy. Ale te połowiczne środki i jednostronne próby reform moralno-ustrojowych wkrótce okażą się ułudą — a świat przerażony i h bezsilnością stanąć może wówczas przed olbrzymiem złowrogiem »być albo nie być«.

Przyszedł czas na zrozumienie, że przyczyny załamania się cywilizacji nowożytnej należy szukać nie w okolicznościach zewnętrznych, nie w materjalnych warunkach naszego bytu— lecz w nas samych. Ludzie myślący dochodzą do słusznego i arcylogicznego wniosku, że zamęt i dezorganizacja mają miejsce nie poza nami, w przyrodzie, która przecież darzy nas hojnie swemi naturalnemi bogactwami—lecz w człowieku, w jego świadomości, w jego intelekcie, uczuciu moralnem i woli.

Nazbyt długo wierzono w absurd mechanicznej naprawy stosunków pomiędzy ludźmi, klasami społecznemi i narodami, w organizację nowego porządku zapomocą doktryn ekonomicznych i policyjnych nakazów. Przecież wiemy dobrze, że źródłem wszelkich funkcyj i procesów społecznych jest człowiek. A jeśli tak, to przemianę świata musimy zacząć nieuchronnie od przemiany człowieka.

Bezwątpienia, łatwiej jest głosić ślepe, fanatyczne hasła schlebiające tłumom, łatwiej odwoływać się do autorytetu złota czy bagnetów, łatwiej wreszcie operować bezmyślną demagogją i wszczynać krwawe przewroty socjalne — niż skłonić ludzi do wielkiego wysiłku myślowego, do heroizmu moralnego, do żmudnej uprawy czystego rozumu. Ale droga najmniejszego oporu bywa zdradliwą i kończy się nad brzegiem przepaści. Trzeba z niej zawrócić, pod grozą utraty wszystkich dóbr duchowych i materjalnych, jakie ludzkość wypracowała i nagromadziła przez całe tysiąclecia trudu i walki.

Pod naciskiem kryzysu powszechnego prysła wiara w postęp automatyczny. Z chaosem rosnących trudności gospodarczych, z rebusami zagadnień socjalnych i politycznych, z koszmarem wojny gazowej i z problematem wszechludzkiej unji ludów uporać się może tylko **sam człowiek.** Ale nie ten człowiek wczorajszy, z głową pełną przesądów, z sercem karła i zachwaszczonym intelektem, nie człowiek dzisiejszy, wytrącony z równowagi moralnej i umysłowej, znużony przeżytą wojną i zarażony niezdrową febrą socjalną— lecz człowiek Jutra, widzący trzeźwo rzeczywistość dziejową, przeświadczony o zwycięskiej wyższości twórczego rozumu nad chaosem warunków fizycznych, w jakim świat wskutek własnej nieudolności szamotał się dotąd bezsilnie.

Nowa Era potrzebuje nowego człowieka. Stwórzmy go, zaczynając od samych siebie. Wykujmy typ człowieka o samorzutnym rozumie, człowieka odzyskującego zdolność pełnego, syntetycznego myślenia, człowieka panującego nad warunkami, tworzącego je własnym rozumem i wolą. Stwórzmy człowieka twórczego, a to znaczy (gdyż człowiek i twórca to synonimy)... stwórzmy człowieka.

Gdy wzniesiemy się rozumem ponad całokształt procesu dziejowego, ujrzymy z tej wysokiej perspektywy, jak z lotu ptaka, że byliśmy i jesteśmy jeszcze dotąd mrowiskiem istot, które stanowczo zbyt wcześnie nazwały się — ludźmi. Ludzkość jest zbiorowiskiem pół-ludzi, ledwo naszkicowanych projektów na wielki gatunek kosmiczny, »homo sapiens«. Cała dziedzina naszych funkcyj życiowych, zwłaszcza zaś t. zw. procesy gospodarcze, to uszlachetniony byt zwierzęcy, zależny od praw przyrody, doczesny i przyziemny. Dopiero pytanie o cel istnienia, o istotę wszechrzeczy, o najwyższe problematy transcendentne, czyni nas ludźmi. Jak zwierzęta byliśmy dotąd tworzeni — jak glina urabiani przez warunki. Od dziś musimy je tworzyć sami. Wśród strasznych klęsk i konwulsyj, wśród rozlewu krwi i wzlotów genjuszu, ludzkość przewala się w nową erę, w inne wymiary bytu. To przejście ma być naszem dziełem, o współcześni! Danem nam będzie może nareszcie zapoczątkować erę twórczego życia, erę Człowieka.

Sygnałem i wstępem do niej niechaj będzie zrozumienie, że dwa wczorajsze ideały: dobrobyt gospodarczy i potęga militarna — przeżyły się już i same przez się nie dadzą się już osiągnąć. Ponad nie dźwignąć trzeba i wywyższyć nowy ideał dziejowy: Człowieka. Człowiek, nie dla dobrobytu i nie dla potęgi — ale człowiek dla samego siebie, człowiek dla człowieczeństwa: Oto drogowskaz, który z labiryntu krętych ścieżek wyprowadzi nas na szeroki gościniec, ukazujący w świetnej perspektywie nowy ład moralny świata, nowy porządek społeczno-religijny i prawno-polityczny.

Idzie tu o nadanie jednostkom, grupom społecznym i narodom nowego kierunku dążeń, nowego celu i autorytetu, nowego wreszcie ideału wychowawczego dla teraźniejszych i przyszłych pokoleń. Kierunek ten, mijając obojętnie złudne i wyolbrzymione przez afekty—przyczyny konfliktów socjalnych i politycznych, pchnąć ma energję mas ludzkich i wysiłek organizacyjny instytucyj społecznych na płaszczyznę wspólnego ideału, wspólnej prawdy. Prawda ta brzmi: że różne są narody i różne barwy skóry, ale jeden jest Człowiek i jeden Rozum dany człowieczeństwu przez Boga; że poszczególne indywiduum i cała ludzkość, to dwa uzupełniające się bieguny równowagi społecznej; że obowiązkiem ludzkości jest umożliwić jednostce rozbudzenie i rozwinięcie śpiących w niej sił twórczych, czyli stworzenie samej siebie; zaś obowiązkiem jednostki jest dopomóc ludzkości w społecznem, zbiorowem dążeniu do wyzwolenia w niej człowieczeństwa, do stworzenia się jej »na obraz i podobieństwo Boże«.

W obliczu wielkiego celu znikają cele mniejsze. Gdy ludzkość zrozumie, że tylko nowy typ człowieka, tylko człowiek twórczy będzie umiał ująć żelazną dłonią ster przyszłych dziejów — pocznie go tworzyć. Gdy pojmie dalej, że tylko najwyższy rozwój rozumu jest środkiem wypracowania typu twórczego człowieka— zwróci się całym frontem ku dyscyplinie intelektu, ku filozofji, ku czystej wiedzy A gdy zorjentuje się wówczas, że czysta wiedza możliwa jest tylko przez poznanie prawdy niewarunkowej i apodyktycznie pewnej — osiągnie i ustanowi wreszcie konkretnie i prawnie na ziemi ten najwyższy autorytet rozumowy, ten niewzruszony, granitowy fundament przyszłego ładu moralnego: Prawdę absolutną.

U podstaw nowej kultury

Wielka Wojna podważyła fundamenty ekonomicznego i politycznego bytu narodów, zmuszając je tem samem do skupienia wysiłków dokoła stworzenia sobie nowego „modi vivendi". Jednocześnie galopujący rozwój techniki wojennej przesunął sprawę zwycięstwa na pole sił ekonomicznych i uprzemysłowienia narodów. Wszystko to musiało utrwalić na czas jakiś niepodzielne panowanie materjalizmu na dymiących zgliszczach dawnej, przedwojennej Europy. Kto żyw oddał się palącej sprawie odbudowy dachu nad głową, najczęściej kosztem sprzeniewierzenia się służbie ponaddoczesnych ideałów.

Znany na Zachodzie krytyk osobliwości kultury naszych czasów, Juljan Benda, nazwał to sprzeniewierzenie się „zdradą klerków". Jego zdaniem klerkowie, którzy w przeciwstawieniu do przyziemnych laików (nazwy „clerc" i „laic" zostały tu zaczerpnięte ze średniowiecznej francuszczyzny) imali się spraw tego świata jedynie, by kierować nas „ad astra" — ugrzęźli dzisiaj w doczesności i nie podnoszą już oczu ku niebu. Ten powszechny nawrót do praktycznego materjalizmu p. Benda uważa za chorobę naszego wieku: „Świat cierpi z braku wiary w jakiś ideał transcendentny" — takie jest motto jego książki p. t. „La trahison des clercs".

Ale p. Benda nie przemyślał tego zagadnienia do końca, nie pokusił się o rzutowanie „zdrady klerków" na arenę nadchodzącego jutra. Gdyby to uczynił, możeby jednak dotarł do myśli, że zdrada klerków jest pozorną, że chodzi tu o coś zgoła innego: o krok naprzód ku wielkiej dziejowej syntezie pomiędzy światem ducha i materji.

Zjawiskom reprezentatywnym brak w naszej epoce ducha, sprawom duchowym zbywa na plastycznej wypukłości, — to prawda. Ale sprawy duchowe istnieją w nas przecież, choć zatarła się dawna wyraźna granica między klerkiem, a laikiem, między, powiedzmy, Nienaskim a Połanieckim. Klerkowie wcale nie zdradzili swej świętej sprawy, zrzucili tylko hieratyczne stroje i odpasali romantyczne koturny. Bo nadeszły inne czasy. Bo wyszedł już z głębokości dziejowych dokonań i znajduje się u wejścia na forum współczesności Nowy Człowiek: homo faber et kalokagatos, człowiek pracy twórczej, piękny i dobry zarazem. U nas trzeba mu tylko pomoc sforsować ostatnią przeszkodę: Rubikon polskiego bezwładu (do czego tak gorąco nawoływał Żeromski), a ukaże się ustokrotniony w masach.

Już wiek 19-sty postawił nam przed oczy wizję tego człowieka, człowieka-twórcy dziejów i samego siebie. Poczucie metafizycznych elementów natury ludzkiej, zatracone czasu Oświecenia w zalewie wykwintnej ogłady, niczem mistyczne oblicze przyrody w parkach á la Watteau, strzyżonych w piramidy, — odżyło na nowo w prawie stworzenia Hoene Wrońskiego, w koncepcji „człowieka wiecznego" Mickiewicza, w „Promethidionie" Norwida.

Wiek 20-sty, choć jego poprzednik dokonał swego górnego i chmurnego żywota w uciszonych nurtach automatycznego postępu, nie sprzeniewierzył się jego bezpłodnym, jak się zdawało, marzeniom. Wiek 20-sty wprowadza człowieka-twórcę na widownię dziejów. Zwalczając na wszystkich frontach naturalizm i związaną z nim koncepcję kultury odzwierciadlającej rzeczywistość empiryczną, wiek 20-sty przeciwstawia tej koncepcji tezy idealizmu, określające wszystko, co stanowi świat humanistyczny, jako samoistny twór ducha ludzkiego.

W związku z tem krystalizuje się stopniowo nowy pogląd na istotę kultury. Dotychczasowe dociekania w tej dziedzinie są jeszcze wprawdzie w stadjum mgławicowem, pozwalają już jednak zorjentować się, w jakim kierunku podąża współczesna myśl naukowo-filozoficzna oraz sztuka, organizująca elementy wyobraźni. Punkt wyjścia stanowi tutaj przeciwstawienie wyobrażeniu człowieka-maszyny, sprecyzowanemu w ubiegłym wieku pojęciowo w duchu materjalistycznych uproszczeń La Metriego i Cabanisa. Jak wiadomo, człowieka określono wtedy jako ustrój, którego myśl, wydzielina mózgu, jest faktem przyrodniczym nie różniącym się zasadniczo od trawienia (Büchner, Moleschott). Jednak, gdy stanowisko człowieka, jako „pana stworzenia" zostało tak poważnie zagrożone, gdy filozofja i nauka wtrąciły go na zawsze, zda się, w kołowrót natury z jej odwiecznymi nawrotami rozwoju i rozkładu — coraz wyraźniej zaczęto jednocześnie kreślić „linję demarkacyjną" pomiędzy światem ludzkim a poza ludzkim.

Historycznie biorąc, można rzec, iż ruch ten datuje się od czasu ukazania się dzieł Wilhelma Dilthey'a. Ten znakomity uczony wykazał (por. dzieł t. II, str. 90 i in.), że istnieją uczucia i pojęcia wspólne wszystkim ludziom i przeznaczone jakby do zniesienia granic dzielących narody, i że takie tych uczuć i pojęć wytwory, jak religja, filozofja, sztuka, nauka i t. d. mają swoistą **strukturę i bytowania odrębne od zjawisk psychicznych.** Godziło to, oczywiście, w czysto naturalistyczne pojmowanie istoty ludzkiej, jako że użyję słów Remy de Gourmont'a — „zwierzęcia, które zrobiło karjerę".

Epokowe spostrzeżenia Dilthey'a zostały zczasem przeszczepione na grunt pozapsychologiczny. Precedensem było tutaj wprowadzenie w logice rozróżnienia pomiędzy tem, co zdanie wyraża, a tem, co znaczy. Zwrócił na to uwagę G. Simmel, a następnie podjął te rozważania Teodor Lipps i zastosował powyższe rozróżnienie do całego humanistycznego świata. Wreszcie Husserl i inni fenomenologowie przeprowadzili tezę, że **sens znaczeniowy zdania nie może być zaliczony ani do świata fizycznego ani do świata psychicznego,** należy bowiem do świata, którego elementy nie mogą być spostrzegane, a tylko rozumiane. Gdy słyszę lub czytam zdanie, — orzekli, — spostrzegam tylko szereg znaków fonetycznych lub optycznych i to stanowi funkcję mego psycho-fizycznego organizmu; dopiero rozum, jaki pozatem posiadam, daje mi możność uświadomienia sobie sensu tych znaków.

Przywrócono w ten sposób rozumowi ludzkiemu niejako jego niematerjalne, boskie pochodzenie, przypisywane mu niegdyś przez Arystotelesa („nus poietikos"). Pogląd ten, zastosowany zkolei do całokształtu zjawisk humanistycznch, doprowadził do przekonania, że zjawiska te stanowią zamknięty w sobie świat sensów i znaczeń, nie dający się sprowadzić bez reszty do zjawisk psychicznych, że jest to jakiś niefizyczny i niepsychiczny świat objektywny aktualizowany przez ludzi w aktach rozumienia. Doprowadziło to w naukach humanistycznych do sformułowania podstawowej tezy metodologicznej o zasadniczej różnicy pomiędzy rozumem a psychiką i do uznania rozumu ludzkiego za funkcję nie duszy, lecz ducha.

Rozróżnienie to, duch i dusza (Geist und Seele), nie było, nawiasem mówiąc, nowe, uzyskało tylko nowe naukowe uzasadnienie. Bo przecież już u wspomnianego powyżej Arystotelesa spotykamy się z trializmem duch—dusza—ciało, zarówno jak w filozofji żydowsko-aleksandryjskiej, w listach Pawła-apostoła, który przeciwstawia „człowiekowi z duszą" człowieka „duchowego znającego sprawy boże" (1 Kor. II. 14. 15), i wreszcie u gnostyków (podział ludzi na chylików, psychików i pneumatyków). Rozróżnienie to zanika w filozofji chrześcijańskiej od czasów Tomasza Akwinaty, który ducha i duszę ściągnął w jedno pojęcie, i powraca dopiero sporadycznie w filozofji Fichtego, wprowadzającej na nowo pojęcie jaźni różnej od podmiotu i przedmiotu.

Ale ostatnio, pod presją dociekań zwłaszcza na polu filozofji kultury (Spranger, Freyer) i socjologji (Simmel, Weber, Durkheim), pojęcie psychiki uległo ostatecznemu już, jak sądzić należy, rozszczepieniu. W świadomości dzisiejszego człowieka zarysowują się dwa odrębne światy: istotnie **ludzki świat ducha i pozaludzki świat natury, do którego należy i nasz psycho-fizyczny organizm.** Skłania to coraz liczniejszych myślicieli do przeciwstawienia kultury, jako tworu ducha, naturze. Kultura, — orzekają, jest pokonywaniem natury dokoła nas i w nas samych.

Tak oto za kulisami kryzysu gospodarczego, pośród ukrytych sprężyn polityki, na marginesach protokułów dyplomatycznych, w cieniu stadjonow sportowych rodzi się i przybiera nowa fala odrodzenia duchowego zwiastująca epokę nowej kultury. To nic, że powstają przytem jakieś jałowe spory o to, czy duch jest czy też nie jest „pasorzytem na drzewie życia", jak wyraża się Maks Scheler, jeden z interpretatorów t. zw. szkoły antropologicznej. Wielka fala odrodzenia porwie, uniesie i zmyje to wszystko. Przeciwstawienie bowiem kultury naturze, wywodzące się ze świadomości o duchowem pochodzeniu ludzkiego świata, nie polega bynajmniej ani na jakiejś „ucieczce od życia" jak się to wydaje Schelerowi, ani na podeptaniu ciężkim buciorem dzisiejszego „Kulturträgera" odwiecznie kwitnącej łąki życia. Walka z naturą (nie z przyrodą, Boże broń!) i owoc tej walki, kultura, polega na **rzeczywistem poddawaniu bytu woli człowieka.** Taka walka, jeśli ma zostać uwieńczona zwycięstwem, musi być prowadzona przy pomocy zmobilizowanych wszystkich sił witalnych ludzkości, musi opierać się o sam **instynkt życia,** występujący w dzisiejszej naszej świadomości, jako najogólniej biorąc, **poczucie konieczności walki ze śmiercią.** To poczucie, wspólne wszystkim niezrezygnowanym ludziom, nie jest jednak wyłącznie **głosem instynktu samozachowawczego,** — jest także **głosem ducha** przeświadczonego o wyższym moralnym ładzie człowieczego świata i o kosmicznem posłannictwie ludzkości. Ten drugi, duchowy czynnik nadaje omawianemu poczuciu zabarwienie metafizyczne, religijne. Ale obydwa te czynniki są jednakowo ważne, obydwa niezbędne, gdy idzie o **organiczny rozrost kultury.** Pierwszy z tych czynników, działając samopas, zagnałby ludzkość **do koszar sowietyzmu,** drugi — do **podziemi inkwizycji.**

Lucjan André.

* * *

...poezja tyczy się rodu człowieczego całego, a nie jednego kraju, jednego łachmana czasu i przestrzeni. Ona wieczność i nieskończoność garnie pod skrzydła swoje i dlatego właśnie była zawsze i być musi religijną, to jest mówić o zagadce wielkiej, którą Bóg zadał ludzkości.

Zygmunt Krasiński.

List do Gaszyńskiego 1834.

Idea autokreacji u Wrońskiego

ISTOTA RZECZYWISTOŚCI ABSOLUTNEJ

Gdy sama rzeczywistość dziejowa zakłada postulat nowego typu człowieka dla podjęcia nowych zadań i celów—warto chyba przeprowadzić analizę ideji, jaką przyniosła światu w tym zakresie filozofja polska XIX-go stulecia. Mam na myśli ideję autokreacji (stanowiącą jedną z podstawowych zasad doktryny filozoficznej Hoene-Wrońskiego), którą można również nazwać ideją człowieka twórczego, albo raczej człowieka, który **tworzy sam siebie**.

Zanim jednak przedstawię na tem miejscu wstępny zarys tej koncepcji, zaznaczyć muszę że do analizy tak wysokiego i trudnego do pojęcia problemu metafizycznego przystąpić trzeba bez uprzedzeń i przesądów, uwolniwszy się wprzód z szablonów pojęciowych, wszczepionych umysłom przez ciemne barbarzyństwo materjalizmu. Zachodzi tu bowiem konieczność skupienia uwagi na samych elementarnych funkcjach i władzach ludzkiego rozumu, które są bardzo trudne do uchwycenia i określenia, dlatego, bo wysiłek myśli kieruje się tu nie nazewnątrz, ku przedmiotom, zjawiskom i związkom pojęciowym pomiędzy niemi, lecz ku samej swej istocie (myślenie o myśleniu).

W uproszczonej definicji, dostępnej nawet dla laików, powiedzieć można, że filozofja — jest to **poszukiwanie istoty i sensu rzeczywistości samej w sobie.** Jeżeli rozpatrywać będziemy rozwój postępowy myśli filozoficznej z tego punktu widzenia, okaże się, że najważniejszem jej dziełem było rozszczepienie rzeczywistości na dwa różnorodne składniki, dwa elementy (w starożytności materja i forma, w średniowieczu substancja i esencja, w filozofji nowożytnej **byt i wiedza**). W jaki sposób współistnieją i współdziałają w procesie rozwojowym wszechświata te dwa elementy (to co **idealne** i to co **realne**), nie mogła tego dociec filozofja przed Kantem. A przecież fakt tego współdziałania nasunął się jako oczywisty i doświadczalnie stwierdzony, choćby przez równorzędność i współzależność aktów psychicznych i funkcyj fizycznych człowieka. Trudny ten problemat usiłował naprózno rozwiązać okazjonalizm, wyjaśniający, że każdy akt takiego połączenia wiedzy z bytem, dokonuje się za pośrednictwem i interwencją siły wyzszej, Boga.

Kant pierwszy uczynił próbę powiązania dwu różnorodnych składników w sposób naukowy, zadowalający nasz rozum spekulatywny, konstruując rzeczywistość przez t. zw. **syntezę transcendentalną wiedzy i bytu:** pojęcie to oznacza, że byt i wiedza (nietylko w człowieku, ale i w świecie otaczającym nas), łączą się ze sobą u samej swej podstawy, na pograniczu świata **rzeczy stworzonych** i świata **zasad stwórczych,** czyli praw rządzących samorzutnie wszechświatem immanentnym. W ten sposób błysnęła przed umysłem ludzkim ideja absolutu, **rzeczywistości samej przez się** — zakładająca się narazie jako problemat Jedności transcendentnej, ukazanej pod postacią syntezy bytu i wiedzy.

Ale myśl ludzka nie mogła na tem poprzestać. Negatywne stwierdzenie Kanta, że istota rzeczywistości („rzecz sama w sobie") jest niepoznawalna, pobudziło następców jego do dalszych żarliwych poszukiwań, w nadziei dotarcia aż do rdzenia tej zasady najwyższej będącej twórcą i warunkiem wszelkiej rzeczywistości. Po gigantycznych koncepcjach Fichtego i Hegla, po próbach Krausego, Bardillego, Buterwecka, Jacobi'ego, Reinholda—genjusz Schellinga uchwycił wreszcie w zawrotnej abstrakcji ideję już nie syntezy, lecz **tożsamości** dwu przeciwstawnych elementów, bytu i wiedzy, stwierdzając, że właśnie ta niepojęta dla człowieka **tożsamość przeciwieństw** jest absolutem.

Był to najpotężniejszy wzlot myśli, na jaki zdobyła się nowożytna Europa. Ponieważ jednak Schelling nie zdołał z odkrytej przez siebie zasady wyprowadzić w sposób ścisły i pozytywny całego stworzenia wszechświata, jak również dać odpowiedzi na pytanie o cele ostateczne człowieka i ludzkości—filozofja zawiedziona w swych oczekiwaniach wycofała się z trudnej drogi i weszła w okres dekadencji.

Jeden tylko Hoene-Wroński, filozof-matematyk polski, nie uląkł się trudności, jakie czyhały na rozum ludzki poza słupem granicznym genjalnego odkrycia Schellinga i podjął porzucone przez innych dzieło, aby doprowadzić je do końca, dosięgając wreszcie istoty wnętrznej (essence intime) absolutu, dla której Schellingowska tożsamość wiedzy i bytu—jest jeszcze tylko formą zewnętrzną.

Z apodyktyczną pewnością, ugruntowaną na odkryciu zasady stwórczej, będącej źródłem wszelkiego bytu i wszelkiej wiedzy — wykreśla teraz Wroński przyczynę i cel istnienia wszelkiej rzeczywistości, oraz sposób w jaki rzeczywistość ta utrzymuje się wiecznie i niezniszczalnie, wsparta na samej sobie, w nieskończonym czasie i w nieskończonej przestrzeni.

W licznych dziełach swych (kilkaset dzieł i rękopisów) rozbudowuje Wroński na kamieniu węgielnym swego podstawowego odkrycia, cały gmach swej **filozofji absolutnej,** obejmujący prócz filozofji, religji, matematyki i historji, także filozofję polityki, prawa, socjologji, ekonomji i wszystkich istniejących uprzednio, lub też założonych przez niego gałęzi wiedzy (przedewszystkiem filozofję przyrody we wszystkich jej dziedzinach, jak astronomja, fizyka, chemja, biologja, geologja, zoologja, botanika, mechanika i t. p.). W każdej z tych dziedzin wiedzy wykrywa on i określa ściśle podstawowe prawa i problematy danego układu zjawisk, otrzymując całkowity zespół tych praw i problemów przez zastosowanie swej słynnej **metody filozoficznej** t. zw. Prawa stworzenia, które jest nie czem innem, jak rozwinięciem analitycznem zasady absolutu, czyli samej istoty rzeczywistości.

STWORZENIE SIĘ WŁASNE CZŁOWIEKA.

Dla wielu ludzi brzmieć będzie przerażająco stwierdzenie Wrońskiego, że celem istnienia rzeczywistości jest **stworzenie się własne** człowieka, czyli, że wszechświat istnieje tylko po to, by na rozsianych w międzygwiezdnej przestrzeni planetach powstały istoty rozumne, nadające sobie byt absolutny, **zapomocą odkrycia własnym rozumem tej najwyższej zasady rzeczywistości, czyli samej transcendentnej istoty Boga.**

Według Wrońskiego cała historja ludzkości jest niczem innem, jak powolnem organizowaniem się ładu społecznego w którym powstać mają warunki, umożliwiające każdemu człowiekowi odkrycie absolutu, a tem samem osiągnięcie nieśmiertelności, podobnej nieśmiertelnemu, niezniszczalnemu trwaniu Boga. Ten postępowy rozwój historyczny, kierowany t. zw. Prawem Postępu, składa się z trzech okresów:

W pierwszym postęp ludzkości jest automatyczny, dąży ona mianowicie do osiągnięcia celów, wyznaczonych jej przez samą naturę człowieczeństwa (dobrobyt gospodarczy, sprawiedliwy porządek prawny, uświęcenie przez religję i pewność wiedzy).

W okresie drugim automatyzm przestaje działać, gdyż cele poprzednie nie wystarczają już i ludzkość poczyna się miotać rozpaczliwie w poszukiwaniu nowego jakiegoś, wyższego celu; jest to właśnie przeżywany obecnie przez nas okres krytyczny, albo przejściowy, pod koniec którego ludzkość zrozumie i uzna prawnie konieczność dążenia ku **celom absolutnym.**

Wreszcie w okresie trzecim przyjdzie czas na świadomą realizację tych celów absolutnych' t. zn. na rzeczywiste osiągnięcie przez ludzi Prawdy (odkrycie absolutu) i Dobra (uzyskanie bytu nieśmiertelnego przez stworzenie się własne).

Ogrom tej koncepcji Wrońskiego sprawia, że na pierwszy rzut oka wydaje się ona jakąś nieuchwytną, nieosiągalną utopją. Ale Wroński udowadnia i stwierdza wszelkiemi środkami rozumowemi realność tej ideji. Powołuje się on nietylko na dążność samozachowawczą istoty żyjącej i na luźne przeczucie nieśmiertelności, ukryte w każdej świadomości ludzkiej, nietylko na niezliczone mity o zmartwychwstaniu i na odnośne objawienia wszystkich rozwiniętych religij świata starożytnego, lecz także — i to w pierwszym rzędzie — na chrześcijański dogmat dotyczący nieśmiertelności indywidualnej. Wykazuje mianowicie, w krytycznej analizie naukowej, że problemat nieśmiertelności, jako wyniku stworzenia się własnego przez człowieka — stanowi istotę i rdzeń doktryny chrześcijańskiej. Ziarno tej koncepcji widzi w czwartej ewangelji św. Jana, w rozmowie Chrystusa z Nikodemem, zawierającej to ważne zdanie: „Opportet vos nasci denuo" („Potrzeba, abyście się po raz wtóry narodzili").

Problemat ten Chrystusowy, tak zawrotny i niepojęty dla ludzkiego **rozsądku** (podkreślam to dla odróżnienia rozsądku od rozumu), stanowił dotąd tylko przedmiot wiary, ewentualnie pobudkę rozstrząsań teologicznych; nie zstąpił on nigdy dotąd między ludzi w postaci konkretnej, naukowej, naświetlonej krytycznie. Wroński jest pierwszym człowiekiem, który przystąpił do rozwiązania tego zagadnienia na drodze rozumowej, aby dać tem samem odpowiedź na zapytanie Nikodema skierowane do Chrystusa: „Quo modo possunt haec fieri?" („Jakoż to może być") *

„QUO MODO POSSUNT HAEC FIERI?".

Aby człowiek, będący wytworem siły wyższej i wplątany w sieć niezliczonych warunków zewnętrznych, przeistoczył się **w twórcę,** aby wyzwolił się tem samem z więzów fizycznego bytu i nadał sam sobie byt absolutny — musi on mieć w sobie jakiś punkt oparcia i jakąś dźwignię zarazem, zdolną wznieść go na nową, wyższą platformę rzeczywistości. Rozumie się przytem samo przez się, że ten punkt oparcia winien się znajdować ponad kręgiem owych warunków, w granicach których zamyka się proces życiowy człowieka t. zn. poza światem stworzonym.

Otóż człowiek ma w sobie taki punkt oparcia i taką dźwignię zarazem. choć — z nielicznemi wyjątkami jednostek — nie zdaje sobie z tego sprawy. Jest nią mianowicie **jego własny rozum.** Mowa tu oczywiście nie o rozsądku, tylko o czystym rozumie, tym którego krytyczną analizę podjął i usiłował przeprowadzić Kant w swoich dziełach.

W kołach t. zw. inteligencji rozpowszechniony jest nagminnie naiwny pogląd, że rozum nasz jest jakiemś zwierciadłem, odbijającem w sobie rzeczywistość. Otóż ważnem jest stwierdzić, że rozum posługuje się wprawdzie jedną ze swych niższych, elementarnych władz, **intelektem,** dla samorzutnego wytwarzania **pojęć,** będących odpowiednikami oglądów zmysłowych, empirycznych — sam jednak góruje ponad obiedwiema władzami konkretnemi t. j. nad zmysłowością i intelektem, a nawet ponad świadomością Ja i wyobrażeniem Nie-Ja, których stosunkiem wzajemnym posługuje się on w swych **aktach twórczych.** Albowiem u podstawy rozumu znajduje się **wiedza stwórcza,** która sprawia, że rozum nie tylko utrzymuje się ponad jakiemikolwiek warunkami, ale jest (według określenia Wrońskiego) **„twórcą warunków wogóle".**

Istoty rozumu nie należy tedy szukać ani w zasadach logicznych które są tylko formami, w jakich przejawia się wiedza pod warunkami czasu (pamiętajmy, że wiedza nasza, sama w sobie, znajduje się poza czasem i poza przestrzenią, które są tylko ramami, w które wkłada ona wszelkie zjawiska i procesy świata dostępnego doświadczeniu). Nie należy jej też szukać w systemie władz psychologicznych, które są tylko sposobami, a raczej narzędziami, przez jakie wiedza zmuszona jest wchodzić w bezpośrednie zetknięcie z bytem.

Prawdziwy przebłysk istoty rozumu, znajdujemy tylko i jedynie w naszym podstawowym akcie umysłowym: „dlaczego?" Gdy bowiem zanalizujemy ten pozornie prosty akt: „dla-czego?" przekonamy się, że zawiera on w sobie pytanie o przyczynę i o cel zarazem. Można stąd wywnioskować, że prawdziwa treść tej dziwnej siły którą my zwiemy rozumem, jest **jednością dwu zasad transcendentnych:** 1) zasady przyczynowości i 2) zasady celowości. Rozum szuka w każdem badanem zjawisku jego przyczyny i celu (jego dlaczego?) dlatego, że przyczynowość i celowość są dwiema nieodłącznemi cechami jego najwewnętrzniejszej natury. Nieskończona dążność rozumu po szczeblach 1) przyczyn i skutków, 2) środków i celów — świadczy, że jego naczelnym postulatem jest jakaś najwyższa zasada, którąby była zarazem przyczyną wszystkich przyczyn i celem wszystkich celów. Nietrudno określić, że jest to zasada, będąca własną swoją przyczyną i własnym swoim celem, rzeczywistość sama przez się „causa sui", absolut—oglądana tutaj przez pryzmat zasady Racyj Dostatecznych istnienia wszelkiej rzeczywistości (odkrytej już przez Leibnitza, a potwierdzonej przez Hegla). Z rozważań tych wynika też fakt niezaprzeczalny, że rozum, ta najwewnętrzniejsza istota, uważa za swój jedyny nakaz dążyć uparcie i ustawicznie ku absolutowi, ku rzeczywistości transcententnej, ku Bogu, choć my, przez swą ociężałość i lenistwo robimy wszystko co możliwe, by go w tym pędzie powstrzymać.

ROZUM TWÓRCA RZECZYWISTOŚCI.

Ale tu już jesteśmy na tropie. Widzimy, że rozum, ścigając i odkrywając istotę rzeczywistości, **tę dwoistą jedność zasad,** (czyli Trójcę) rządzącą wszechświatem — dociera nieuchronnie do samego siebie. Obrazowo rzec można, że rozum wytwarza poszukiwany absolut w swem własnem łonie!

Ponieważ rozum jest tem **Ja ludzkiem,** które zapomocą zmysłów odczuwa, zapomocą intelektu poznaje, a zapomocą refleksji **rozumie i sądzi** (patrz Kant: rozum jako twórca sądów analitycznych i syntetycznych a priori) — można utożsamić pojęcie Rozumu z pojęciem Człowieka. Zamiast tedy mówić, że rozum przez swój akt: „dlaczego"? stwarza swą własną rzeczywistość, można rzec prościej, że **człowiek przez akt „dlaczego"? stwarza sam siebie.**

Dyscypliną, która uprawia w pierwszym rzędzie ten akt umysłowy i która umożliwia człowiekowi najskuteczniejszą i najsprawniejszą czynność stwarzania samego siebie—jest filozofja, czyli **wiedza o istocie i funkcjach wiedzy.**

Widzimy stąd, że w rozumieniu Wrońskiego filozofja przestaje być jakąś oderwaną zabawą spekulatywną, czy też pozbawionem znaczenia praktycznego snuciem domysłów na temat zagadki istnienia — a staje się **sprawą duchową** najważniejszą dla człowieka, dźwignią jego rzeczywistości transcendentnej, czyli najwyższą metodą twórczą, prowadzącą nas do zdobycia nieśmiertelności, absolutnego bytu.

Ale filozofja taka, zasługująca już na nazwę absolutnej, jest dla nas zarazem **absolutną religją,** gdyż umożliwia nam osiągnięcie nadprzyrodzonego celu ukazanego indywiduom i całej ludzkości przez problemat stworzenia się własnego, założony w doktrynie chrześcijańskiej przez Chrystusa. Tak też nazywa Wroński swą doktrynę, stwierdzając, że jego „Parakletyzm mesjaniczny" jest łącznością filozofji i religji, tych dwu dróg, po których zdążał i dotąd zdąża człowiek ku swoim celom absolutnym.

SZCZEBLE AUTOKREACJI.

Rozum nasz poddany uprawie filozoficznej zapomocą częstego i metodycznego **skupiania uwagi** na jego najistotniejszych elementach — dźwiga powoli naszą świadomość na coraz wyższe szczeble rozwoju. Przez odpowiednie, celowe użycie elementarnych władz psychologicznych, któremi są: Wiedność, Świadomość, Wyobrażenie, Zmysłowość, Intelekt, Wyobraźnia odtwórcza i Wyobraźnia wytwórcza—uprawa ta przechodzi kolejno etapy następujące:

1. Naprzód działa w nas prosta świadomość **uczuciowa,** podobna jeszcze zwierzęcej (najpowszechniejsza u ludzi). Jest to jaźń empiryczna, **biernie** przyjmująca zjawiska świata zewnętrznego za pośrednictwem zmysłów. W granicach tej świadomości obracają się — w dziedzinie filozofji—psychologowie-empirycy, zaś w dziedzinie religji—mistycy.

2. Ale przez samorzutne rozwijanie w sobie wiedzy, przeciwstawiamy tej biernej, uczuciowej świadomości — świadomość **poznawczą.** Jest to jaźń logiczna, **czynnie** określająca swój stosunek do rzeczywistości zewnętrznej za pośrednictwem intelektu, czyli czystych funkcyj umysłowych. Świadomość taką ugruntowują w sobie matematycy i logicy. W filozofji tworzy ona dogmatyzm, zaś w religji emancypację religijną (np. reformacja w Niemczech).

Nota Dwa powyższe szczeble świadomości osiągnęła już ludzkość w tym stopniu, że w obecnym momencie historycznym podzieliła się cała na dwa obozy: ludzi o przewadze uczucia i ludzi o przewadze poznania, popularnie zwane prawicą i lewicą. Ponieważ te dwa typy świadomości są sobie przeciwstawne, powstaje pomiędzy niemi walka, gdyż posiadacze ich nie rozumieją się wzajemnie. Walka ta przejawia się w stosunkach społecznych od czasu rewolucji francuskiej ze szczególną jaskrawością i siłą, a będzie trwać dopóty, dopóki ludzkość nie rozwinie w sobie 3-ciej świadomości wyższej od obu poprzednich i harmonizującej je w nowej, wszechstronniejszej zasadzie.

3. Tę trzecią świadomość (pierwszy osiągnął ją Kant w swojej metodzie transcendentalnej) Wroński nazywa świadomością **rozumiejącą,** czyli refleksyjne. Zadaniem tej władzy psychologicznej jest uzgodnić różność i antynomję między poznaniem i uczuciem przez wprowadzenie współrzędności, koordynacji, równowagi. Jest to jaźń transcendentalna, której funkcją jest. 1) wykrywanie dwoistości elementów w każdem zjawisku i w każdym systemacie rzeczywistości; 2) dokonywanie syntezy transcendentalnej rzeczywistości zmysłowych i umysłowych**).

Cechą szczególną tego stopnia świadomości jest już dostrzeganie zasady Zbiegu Celowego, czyli celowości, która rządzi rozwojem wszelkich rzeczywistości, ukazując w nieskończonej wielości zjawisk i procesów kosmicznych jeden **plan** i jeden **kierunek** dążeń. Formą tej świadomości jest rozwaga (refleksja), która jest nie czem innem, jak odbiciem myśli na samej sobie, myśleniem o myśleniu, rozdwajaniem jedności, podobnem do dwoistości podstawowego aktu umysłowego „dlaczego?" Ta rozwaga jest tedy intuicją zasady Racyj Dostatecznych i zawiera w sobie postulat ładu i wyższego sensu rzeczywistości, objawiający się subjektywnie jako Piękno i Wzniosłość. Świadomość ta rozwinięta w człowieku, pozwala mu też rozumieć związek pomiędzy moralnością a nieśmiertelnością (patrz „Krytyka rozumu praktycznego" Kanta: celowość własna moralności na wzór celowości własnej absolutu). — W filozofji ta władza psychologiczna stwarza **metodę krytyczną,** zaś w religji zrozumienie Słowa, czyli mocowładności stwórczej rozumu, objawionej ludzkości przez Chrystusa.

4. Jeszcze wyższa uprawa rozumu powoduje przemianę świadomości transcendentalnej w czwartą świadomość, którą Wroński nazywa **potencjalną,** albo świadomością genjuszu. O ile tamta dokonywała syntezy pojęć i intuicyj, o tyle ta sprawia zupełną ich **tożsamość.** Tu zakłada się Genjusz i Wola w najwyższem znaczeniu tych dwu pojęć. Człowiek, który rozwinął w sobie tę świadomość nie ogranicza się już do samego tylko rozumienia celowości w funkcjach wszechświata, lecz zaczyna sam działać, aby stać się świadomym współtwórcą rzeczywistości. Budzi się w nim poczucie **możności wszystkiego,** które pcha go do ustawicznej, niezmordowanej czynności. Dlatego **czynność** jest formą typową takiej świadomości. Wyzwala się w tem stadjum rozwoju człowieka cała potęga twórczej wiedzy, która dąży teraz z szalonem napięciem do nadania sobie maksimum rzeczywistości. Wroński nazywa ten proces wewnętrzny **problematem jaźni transcendentnej** (czyli wyzwolonej całkowicie z warunków świata stworzonego)—albo też świadomością immanentną słowa.

Powyżej pisałem już, że Słowo podług Wrońskiego oznacza mocowładność stwórczą rozumu (czy to w Bogu, czy w Człowieku, Pojęcie mocowładności stwórczej doskonale precyzuje Francis Warrain w dziele pod tytułem „L'armature metaphysique établie d'apres la Loi de Creation de Hoene-Wroński": „Jest to stan możności, uważany jako **źródło aktu**".

Otóż potencjalność, albo prościej genjalność, jest już niejako zarysem tej mocowładności stwórczej, czyli Rozumu Absolutnego (Słowa). Proces stwarzania się Człowieka osiąga tu stan niezmiernie wysokiego napięcia. W filozofji i religji świadomość ta tworzy wspólną ich zasadę, tę właśnie na której wspiera się filozofja absolutna Hoene-Wrońskiego.

Ten czwarty typ świadomości stanowi już substrat nieśmiertelności, mgławicowy zaród piątej i ostatniej świadomości, czyli t. zw. świadomości absolutnej (Słowo czyste). Pisze o niej Hoene-Wroński w „Prolegomenach do Mesjanizmu" co następuje:

5. „Wreszcie, **świadomość absolutna** albo przez **stworzenie:** to JA TRANSCENDENTNE, które tworzy zasadę najwyższą Mesjanizmu, i które jest świadomością samorzutności absolutnej rozumu, mocowładnością stwórczą w Bogu i w człowieku, SŁOWEM CZYSTEM, przez które winien być odkryty absolut i które urzeczywistniając się tym sposobem przez odkrycie zasady tej niewarunkowej wszelkiej rzeczywistości sprawi stworzenie własne człowieka, jego nieśmiertelność..."***).

Jerzy Braun.

*) Należy pamiętać, że: 1). Chrystus ze względu na niski poziom umysłowy swoich współczesnych powstrzymał się od dania tej strasznej i wzniosłej odpowiedzi (patrz zdanie „Si terrena dixi vobis, et non creditis, quomodo, si dixero vobis **Coelestia,** credetis?"); 2). obiecał nadejście Ducha Prawdy, czyli wiedzy najwyższej, która wszystko to rozwiąże.

**) Rzeczywistości zmysłowe—obrazy empiryczne w ramach intuicyj czasu i przestrzeni; Rzeczywistości umysłowe — pojęcia empiryczne w ramach kategoryj czystego rozsądku.

***) Dla uzupełnienia niniejszego artykułu uważam za niezbędne jedno jeszcze wyjaśnienie, dla tych którymby ideja stworzenia się własnego zdawała się być niezgodna z religijnym postulatem zależności człowieka od Boga. Otóż byt nieśmiertelny=byt absolutny, czyli sam przez się. Bóg — siła stwórcza — dał człowiekowi narzędzie autokreacji, rozum, bez którego byłaby ona niemożliwa. Ale byt **przez się,** nie może być człowiekowi nadany zzewnątrz, niejako mechanicznie, lecz musi być osiągnięty własnym twórczym wysiłkiem, **przez samego siebie** (gdyż w przeciwnym razie nie byłby on absolutnym). Z religijnego punktu widzenia problemat przedstawia w skrócie następujący schemat: Rozum dany przez Boga i objawienie problematu nieśmiertelności przez Chrystusa = Łaska; samostworzenie się = Zasługa.

W jaki sposób rozum ludzki osiąga ten stan absolutny, po przejściu całego procesu autokreacji, czyli stworzenia się własnego — może czytelnik niniejszego artykułu dowiedzieć się ze studjów nad filozofją psychologji Hoene-Wrońskiego. Odsyłam go tam nietylko z braku miejsca, ale i dlatego, że tak wysokie rozważania spekulatywne wykraczałyby poza ramy i pojemność treściową czasopisma literackiego.

Władysław Sebyła

NOKTURN JESIENNY

Już nocny wiatr nas pustoszy
i zimne niebo ogarnia —
czerwone liście klonów jesienną podściółką się kładą.
Straciły nasycenie trawy niegdyś zielone
i poszarzały rzeczy, znużone
jednostajnością trwania.

Tak samo jak ty się męczymy,
falami twych walców płukani,
i rozwiewają się sosny podszyte suchym wrzosem
w zgęstniałym chłodzie,
nad taką samą wodą, objęci zadumaniem,
czekamy
na plusk samotnych wioseł
nadpływającej łodzi.

W ponocnej pustce — samotni —
Stoimy w zdumieniu niemem,
że już nie krzyczą słowiki od niepojętej rozkoszy,
a białe gwiazdy płyną — jak zawsze —
nad czarnoziemem —
i nocny wiatr nas pustoszy.

Bolesław Miciński

* * *

Szedł słodki wiew od Illisu
Pachniały sianokosy
Wsłuchany w szmery cisów
Sokrates szedł z Fajdrosem

W przejrzystej wodzie strumienia
Nurzali nogi bose
Staruszek wiąz oniemiał
I słuchał z Fajdrosem

Słuchali wiąz z Faidrosem
Co im Sokrates prawił
Pachniały sianokosy
Wilgotną wonią trawy

* * *

Gdy na płomiennych skrzydłach
Przekroczym próg i tnienia
Wkrąg słońca jak straszydło
Cwałować będzie ziemia

W pustce kosmicznej ciszy
W głuchocie przestrzeni
Jej płuca będą dyszeć
Jej łąki zielenieć

Więc będą rosły drzewa
I trawy będą rosły
Morza się będą przelewać
Muł będą rzeki niosły

Na drzewach będą gniazda
W nich ptaki będą śpiewać
O słońcu i o gwiazdach
O wichrach i ulewach

Więc będą brzęczeć pszczoły
W białych kwiatach jabłoni
Snać nieświadome zgoła
Że Adam łzy tu ronił

* * *

Gdyś kazał w Sewurniano
Święty Franciszku z Assyża
Szerokim rzutem ramion
Kreśliłeś znamię krzyża

Do krzyża ramion czterech
Jaskółki przyleciały
Gromady ptasich czered
Na ręku Ci siadały

Nie mów im dobry Święty
O duchu co w nich drzemie
Bez grzechu jest poczęte
Wesołe ptasie plemię

* * *

Żmudna to była droga
Boć ciężkie ciała brzemię
Kiedyśmy szli do Boga
By osamotnić ziemię

Mknie ziemia smutną nocą
Pośród kosmicznej głuszy
Wesoło ptaszki świergocą
Przecież nie mają duszy

Wyjaśnienia

Ponieważ zaraz od pierwszego numeru „Zet" wystąpiły znaczne różnice idejowe między jego współpracownikami a mną, jestem zmuszony do pewnych wyjaśnień, aby uniknąć niepotrzebnych nieporozumień. Wstrzymałem się od tego po ukazaniu się Nr. 1-szego, ponieważ chciałem mieć dane dwa punkty dla wykreślenia sobie linji i ewentualnej jej ekstrapolacji. O ile redakcja „Zet" zamieści artykuł ten i pozostawi mi następnie zupełną swobodę działania, będę w piśmie tem pracował dalej.

BRAUN I HOENE-WROŃSKI

Kiedy po moim odczycie o intelektualnych brakach literatury polskiej powojennej, drukowanym w „Gazecie Polskiej" w styczniu b. r., nikt słowem nie odezwał się (mimo obietnic) o tym problemie, Braun napisał w tej kwestji bardzo według mnie słuszny artykuł w tejże „Gazecie Polskiej", w którym jednak wystąpiły zasadnicze między mną a nim idejowe sprzeczności. Już z jednej rozmowy z nim miałem wrażenie, że jest zupełnym wrońskistą, ale nie wiedziałem, że konsekwencje tego faktu sięgają aż tak daleko w sferę problemów narodowych i społecznych.

Nie znam dobrze filozofji Wrońskiego, nawet muszę powiedzieć: nie znam jej prawie wcale. Odrzuciło mnie od niej już kilka lat temu, gdy zacząłem czytać jego „Prodrom Mesjanizmu". Ostatnio odrzuciły mnie od Wrońskiego: broszura Chomicza „Byt i Wiedza jako elementy rzeczywistości w filozofji absolutnej", książka F. Warrain'a „Wiązanie Metafizyczne" i jedna rozmowa z samym Braunem o Wrońskim. Jak Winawer w stosunku do całej filozofji wogóle, tak ja w stosunku do Wrońskiego muszę powiedzieć: nie będę tego czytał dalej. Tylko że ja, znając trochę filozofję mogę odrazu zorjentować się co do kierunku danego autora i wiedzieć co on mi dać może i innym również. Dla kompletnego laika w filozofji są tylko różne wypowiedzenia różnych ludzi w bardzo nieokreślonej kwestji; dla znającego rzecz choć trochę istotniej, jest w filozofji i linja rozwojowa i **grupy** kierunków i bloki problemów: panuje w sferze tej pewien ład, którego nawet sprzeczne elementy wyznaczone są pewnemi istotnemi właściwościami samego istnienia, którego opisem adekwatnym ma być filozofja, czyli jakbym proponował nazwać ją jako taką właśnie, to jest jako opis koniecznych stosunków obowiązujących każde absolutnie Istnienie: Ontologja Ogólna. W ten sposób możnaby uniknąć zdewaluowanego terminu „filozofja", który stał się wskutek nieskontrolowanej spekulacji pewnych myślicieli synonimem niejasności, a nawet bzdury.

Mam wrażenie, że u Wrońskiego (podobnie jak u Hegla i jemu podobnych, a nawet u Szkoły marburskich neo-kantystów [Cohena, a nawet Natorpa i t. p.]) następuje zatracenie różnicy między istnieniem wogóle, które ma się opisać (to znaczy podać panujące tam konieczne związki, sformułować jego najogólniejsze prawa) a systemem pojęć, który się do tego celu używa. Pojęcia są tylko znaczkami o pewnych znaczeniach. U filozofów pewnego typu następnie hypostaza pojęć: zaczynają one żyć życiem samodzielnem, zastępują rzeczywistość, stając się jej wampirami, przyczem ona sama schodzi do roli widma, czegoś nieistotnego, złudy, omamu, zamiast być źródłem tworzenia pojęć koniecznych w celu jej adekwatnego opisu. Jeśli filozofja Wrońskiego będzie wywierać wpływ zgubny na umysły, co jest już wielce prawdopodobnem, będę musiał się z nią bliżej zapoznać aby ją zwalczać, ale będzie to ciężkiem i osobiście dla mnie bezpłodnem zadaniem. Walka z pewnemi idejami, danemu komuś przeciwnemi, może być dla niego samego korzystną, może mu odkrywać nowe horyzonty w jego własnym systemie pojęć. Nie mam wrażenia jakoby walka z Wrońskim mogła być taką. Jest to zdaje się system zbyt dowolny, w którym „le mauvais esprit de construction", jak mówi Alfred Binet, czyli dowolność tworzenia budowy pojęciowej, odegrywa zbyt wielką rolę. System taki należy poprostu zwalić, jak nieprzydatny do mieszkania dom, a nie ulepszać go dodatkowemi przybudówkami.

Jako Wrońskista Braun musi być moim idejowym wrogiem, ale w myśl mojego programu z Nr. 1-go „Zet", nie koniecznie ludzie idący bardzo ogólnie w jednym kierunku muszą być ze sobą w zupełnej zgodzie — mogą walczyć i przedstawieniem tej walki oświecać innych. Taką była moja ideja walki wzajemnej, czysto idejowej literatów, krytyków i teoretyków sztuki. Ale gdzieżby u nas było to możliwem! Wszystko załatwia się dowcipkami, aluzjami i insynuacjami, nie znając nawet myśli przeciwnika: chodzi o to aby kogoś zlekceważyć wobec nic nie rozumiejącej publiki i bezkrytycznie robić dalej swoje, dla swojej wygody, pod maską fałszywego autorytetu. Może pismo 'Zet" będzie początkiem innych stosunków, w co jednak wątpię. Każda działalność idejowa musi u nas zapaść się ostatecznie w otaczające ją bagno.

Muszę również zastrzedz się jaknajostrzej jakobym solidaryzował się ze stosunkiem Brauna i Kudlińskiego do fizyki. Takie powiedzenie: „przereklamowany Einstein", lub że teorja względności w fizyce sprzeciwia się „absolutnemu poznaniu" są hańbą poprostu i koniec. Ja, występując przeciw rozpanoszeniu się fizykalnego poglądu na świat, jako taniego materjalizmu i antyfilozoficznego nastawienia, wbrew temu co mi imputują chcący mnie sfałszować przed publicznością wrogowie, **leżę na brzuchu przed fizyką,** jako taką, przed jej odkryciami i **ogólnemi** koncepcjami w obrębie jej samej. Problemy te omówię dalej w szeregu artykułów; może one nareszcie wywołają jakąś dyskusję, któraby wyjaśniła mi moje ewentualne błędy, jak również błędy moich przeciwników. W każdym razie mam wrażenie, że na tle tego że kiedyś (po maturze) studjowałem przez rok wyższą matematykę i zawsze starałem się być au courant nowalji fizycznych i walk pojęciowych dookoła nich powstających,*) wiem czem jest istota fizyki i jaki jest stosunek poglądu fizykalnego na świat (który trzeba odróżnić od fizyki samej, jako zamkniętej w sobie dyscypliny specjalnej) do poglądu filozoficznego, którego pierwszy jest według mnie częścią niesamodzielną. Nie mogę tego powiedzieć o Braunie i Kudlińskim. Każdy kto czytał moje enuncjacje w dodatku naukowym (I.K.C.) i mój atak na Winawera w „Gazecie Polskiej", musi widzieć, że nie neguję poznania fizycznego w pewnych ściśle określonych granicach, a występuję tylko przeciw negacji absolutnej problemów filozofji wogóle na tle preponderacji fizyki, która daleka jest jeszcze od doskonałości ogólno idejowej, nawet w jej własnym zakresie.

Już w „Pożegnaniu Jesieni" pisanem w r. 1925-tym jest rozmówka następująca: mówi Xiądz Wyprztyk: „Nic nie rozumiesz fizyki, Jędrusiu: teorja Einsteina nazywając się teorją względności, ubezwzględnia nasze poznanie, czyniąc je dokładniejszem. Pozorna bezwzględność Newtona staje się tylko pierwszem przybliżeniem i. t. d. i. t. d". To samo ja mógłbym powiedzieć do Brauna i Kudlińskiego. Tak nie można panowie: powagę w swojej sferze możecie utrzymać poznawszy dokładnie ideje swych przeciwników: walka z Einsteinem jako z fizykiem nie przyniesie Wam korzyści, a przedewszystkiem musicie zrozumieć jego pojęcie względności — inaczej będę musiał skonstatować tu wystąpienie tak zwanego przezemnie, a tak pospolitego u nas „zjawiska Winawera" (w analogji do zjawiska Zeemana czy Comptona) czyli mówienia o czemś, o czem się zielonego pojęcia nie ma. To samo w mniejszym stopniu stosuje się do kwestyi psycnologizmu, (Mach, Avenarius, Cornelius), tego kierunku, który tyle dobra przyczynił filozofji. Absolutne niedocenienie ideji tej u Brauna, polega chyba na niedokładnej jej znajomości. Poleciłbym przestudjowanie, wszystkich dzieł Macha, a zwłaszcza Corneliusa.

MESJANIZM

Pewni ludzie odziedziczyli po tak zwanych „wieszczach" z epoki romantyzmu wiarę w magiczną wartość słowa. Wystarczy według nich aby pewne zaklęcie było wypowiedziane, aby odnośna część rzeczywistości zrobiła w tej chwili woltę i stała się zupełnie inną, odpowiadającą życzeniu magika. Nie neguję twórczej siły ideji zaklętych w pewne słowa, tylko występuję przeciw pewnej przesadzie w tym kierunku, szczególniej w naszej epoce. Wiara taka wydaje mi się naiwną i jako taka szkodliwie omamiającą. Nic nie było mi tak przykre w historji myśli polskiej, jak mesjanizm, (wprawdzie Słonimski dla „witz'a" pisze coś o „mesjanizmie Witkacego" ośmieszając mnie w ten sposób na tle ogólnej o mnie opinji, ale to ma tyle n.p. wartości, ile twierdzenie, że Słonimski jest teozofem, ponieważ widziałem go raz w towarzystwie jakiegoś teozofa w kawiarni. Żart żartem ale pewnych rzeczy robić nie wolno. Ale Słonimski i Winawer uważają się za tak wielkich panów, że wolno im wszystko), czemu nawet parokrotnie dałem publicznie wyraz.

Historja Polski jest dla mnie poprostu jednym wielkim bolącym i wstydliwym błędem. I ta Polska, tylko dlatego że przez świństwa swoje i niedołęstwo wpadła w opresję, która była zasłużoną karą za grzechy, miałaby się stroić w strój męczennika za cudze winy. Jaka teraz jest, to jest, ale w każdym razie daleko jej do bycia „Chrystusem Narodów" — niech swego lepiej pilnuje, aby nie przegapić ostatnich historycznych możliwości.* Wznawianie tych ideji w jakiejkolwiek formie, babranie się w nich, wyszukiwanie nowych sensów w naprawdę jak sam Braun mówi „wyciśniętych jak cytryny (dla niego **pozornie** tylko) wieszczach", wydaje mi się bezpłodne i spóźnione. Kiedyś mesjaniczne ideje pozwoliły przetrwać ciężkie chwile, były pewnym rodzajem narkotyku (i to niebardzo pierwszej jakości) dla pewnych typów, w pewnej epoce — nie można z nich czynić, z powodu czci dla wielkich **artystów** epoki romantyzmu, jakiejś tradycyjnie obowiązującej do skończenia świata filozofji specyficznie polskiej, w której nie może być już miejsca na inne sposoby ujmowania rzeczywistości, tak samo jak nie można wmawiać w siebie, że istnieje naprawdę jakaś specyficznie polska filozofja i z Hoene-Wrońskiego, dla tego tylko że był polakiem robić par force kogoś, mającego patent na polską, a nawet wszechświatową mądrość. Na innej płaszczyźnie odbywa się obecnie rozwiazanie problemów narodowych i społecznych i słowa „wieszczów" dobre w swoim czasie (poza ich wieczną wartością artystyczną), są dziś puste i bez żywej treści, zastosowalnej do obecnej chwili historji. Muszę powiedzieć, że na widok sam rozważań nad „44-oma" omal nie dostałem duchowych torsji. Nie takim sobie wyobrażałem "blok intelektualny".

ANTYSEMITYZM

Muszę oświadczyć też z góry, że nie godzę się na wszelkie wycieczki antysemickie, które w „Zet" nastąpiły, lub nastąpić mogą. Może jestem nawet filosemitą — w każdym razie protestuję przeciw rozpowszechnianiu potwornie idjotycznej tabelki Papiniego, z której dowiedziałem się, że Freud zabił moralność, a Einsten „absolut" i t. p. bzdur. Do djabła raz z tem nierozumieniem teorji względności Einsteina. Kupcie sobie panowie popularne książeczki i przestudjujcie tę sprawę, ale nie kompromitujcie siebie i innych. Otoż jeden Bergson się nie udał, ale właśnie Freud (o ile był żydem, o czem napewno nie wiem) udał się wspaniale, mimo jednostronności swej teorij. Udali się również i Marx i Einstein i Husserl i Minkowski i Cantor George). Nie można narzekać. Odbieranie dziś prawa człowieczeństwa jakiejkolwiek rasie jest idejową zbrodnią, nawet u nas, gdzie żydów jest może trochę w pewnych miejscach za wiele. Ale jeśli są, to trudno — nie można przekreślać Tuwima czy Słonimskiego za to że są żydami. Nie zgadzam się z Gałuszką, że wiersze Tuwima są żydowate — są to świetne, polskie do artystycznego szpiku, wiersze. Może psychologja niektórych jest lekko egzotyczna, ale nie język — to nie jest wadą bynajmniej. Ale nawet gdyby były z żydowska pisane, to cóż z tego, jeśliby posiadały te same wartości artystyczne. Wskutek przemięszania u nas żydów z polakami mógł się wytworzyć jakiś język pośredni żydo-polski, w którym tak jak w żargonie możnaby pisać rzeczy świetne. Dlaczego nie? Teoretycznie jest to zupełnie dypuszczalne. Nie postponować żydów, nie wywyższać się się ponad innych Słowian w mesjanistycznych obietnicach, tylko produkcją wartościowych pojęciowo i artystycznie dzieł dowieść swojej wyższości — to jeszcze można, ale nie z góry napadać na innych, że nie są polakami i przy zupełnym braku ludzi pchać się na jakieś kierownicze stanowiska. To jest wstydliwe i niestosowne.

OBIETNICE I WIELKIE LITERY

Tak — właśnie o to chodzi — nie obiecywać wielkich ideji, ale je tworzyć o ile to jeszcze jest możliwe. Nie pisać z góry słów era, człowiek, cel i t. p. przez wielkie litery. tylko starać się codziennym wysiłkiem nadać znaczenie odbarwionym, zjełczałym pojęciom którym ta gołosłowna wielkoliterowatość nie przystoi Lepiej sprobować najprzód czy to wszystko się da „na gębę" zrobić, a potem obiecywać. Mieć w piśmie doskonałych „speców" od wszystkich dziedzin, a nie popuszczać dyletancką maź na wszystkie boki. Ja będę się trzymał swego, to znaczy znaczenia filozofji, stosunku jej do nauki i estetyki. To są rzeczy które zdaje się dobrze rozumiem. Nie będę puszczał się np. na ekonomję i uszczęśliwianie ludzkości*). Tak powinni według mnie postępować wszyscy. Nie dać się unieść wierze w magiczną wartość słów — dobre to w sferze poezji, ale nie w filozofji i społecznictwie.

Fizyka nie jest u wrot otchłani, nawet mimo zachwiania (chwilowego może na tle nieznalezienia zbyt zawiłej prawidłowości) zasady przyczynowości — jest w stanie ciężkiego kryzysu, w którym buduje nową wielką, może ostateczną syntezę. U wrót otchłani jest wszelka dowolność, nieliczenie się z rzeczywistością, u wrót otchłani są puste słowa i nie zrozumienie istoty ducha czasu. To ostatnie zawsze było wadą polaków, jak drugą wadą była chęć wydawania się czemś większem niż się było, czyli t. zw. „puszenie się". Tych rzeczy powinniśmy uniknąć**).

S. J. Witkiewicz.

*) Spóźniłem się ostatnio z kwestją nowej teorji „budowy materji i indeterminizmu, o której dowiedziałem się z Jeans'a tej zimy. Bardzo ciekawa jest w tej kwestji książka Franka „Kausolgesetz und seine Grenzen".

*) Wypowiedziałem się na ten temat w 3-im Nr. „Linji" krkaowskiej z grudnia 1931 r.

**) Zawiadamiam że przygotowuję wielki i przykry a może ostatni atak na Słonimskiego, Winawera et. Comp. do „Gazety Polskiej" i odpowi dź dla p. Ulatowskiego do „Kultury". O ile w pismach tych nie znajdę na polemikę miejsca, to wydrukuję to w „Zet", o ile redakcja nie wyleje mnie definitywnie po niniejszym artykule, który wydrukować będzie jednakże pewnym obowiązkiem, wobec rozpoczęcia gry prawie że na ciemno.

„Wyjaśnienia" zamieszczamy, jakkolwiek ten impetyczny i emocjonalnie zabarwiony artykuł dowodzi, że p. Witkiewicz popada w te same błędy, jakie zwalcza u drugieh. Na liczne zastrzeżenia i zarzuty odpowiemy obszernie w następnym numerze, są one bowiem przeważnie owocem grubych nieporozumień.

Najjaskrawsze z nich usuwamy odrazu: skąd wziął się, u licha, w artykule Witkiewicza ustęp p. t. „Antysemityzm?" W którym numerze i w którym artykule „Zetu" znalazł on choćby najdrobniejszą wzmiankę, o żydach? Jego ścisły umysł powinien go był uchronić od tej „nieścisłości". Zarzut ten jest wyssany z palca — bodaj że wiemy nawet z czyjego,

Kwestji żydowskiej nie pomijamy zresztą, jako jednego z ważnych problemów i określimy nasz stosunek do niej na łamach „Zetu".

Redakcja

Przekładaniec

W nr. 13-ym Wiadomości Literackie drukują „Nowelę polityczną" Bruno Franka, młodego pisarza norweskiego, w tłumaczeniu Stefana Napierskiego. W tym samym numerze pod fotografją autora redakcja przytacza wyjątek z oceny tej noweli (przez J. Wittlina), w którym mówi się między innemi: „arcydzieło stylu, smaku, klarowności"... Świetna zresztą nowela Franka została niestety pozbawiona w polskim przekładzie tych zalet. Przekładowi brak właśnie stylu, smaku, a nadewszystko klarowności. Nie mogę wchodzić w to, czy przekład jest wierny, ponieważ nie znam oryginału. Nie to jest ważne. Ważna jest proza przekładu niesłychanie utrudniająca przeczytanie i zrozumienie utworu. Jest ona dziwnie zagmatwana, niejasna, nie celowa; robi wrażenie, jakby była pisana przez nie-polaka, polegającego więcej na słowniku, niż na własnem poczuciu językowem. Jasność stylu i jego klarowność polega na użyciu słów w ich właściwem znaczeniu, na nazywaniu rzeczy i zjawisk odpowiadającemi im najdokładniej nazwami, na logice związków między słowami i na uszeregowaniu słów zgodnem z duchem praw składni danego języka. Nowela Franka musi być istotnie w języku niemieckim tak jasna i klarowna, jak o niej pisze Wittlin. Lecz proza przekładu wydaje się raczej napuszona, zdania brzmią często jakoś nieskładnie. Dla uzasadnienia swego sądu o przekładzie powinienbym przeprowadzić szczegółową analizę stylu, lecz z braku miejsca zmuszony jestem podać w przytoczeniu zdania najcharakterystyczniejsze dla braku poczucia jezykowego u tłumacza.

„Dziwnie obco, jakby **nieprzynależne** *), jakby wydarte z uporem i wymuszone, **uwydatniało się** na tych, prawie ułomnie sformowanych, barkach i ramionach nabrzmienie mięśni mocne ścięgna".

„...w nieznużenie przemiennej prawidłowości **pięści jego wyrzucały się** ku pilce".

„Ostrym **sztyftem** notowano krótkie zlecenia"...

„...duma obywatelska i duchowa, która w nienagannem sprawowaniu urzędów **postrzegała** i dziedziczyła własny swój szczególny patrycjat".

„...wysokiego **sędzi**..."

„opadało się poprzez stulecia i zasnuć się można było w sen".

„pod arkadami dzikiego wina, które **biegną naprzełaj ogrodu**"... „...doświadczonem **wejrzeniem** ogarnęła całość".

„Och, stać tutaj i ciche **wejrzenie** słać na prawo, wzdłuż czystego konturu lądu, powoli, powoli ku przylądkowi Licasa, póki nie zawróci w zatokę Policastro **i tak uchyli się wzrokowi**". (Co za budowa zdania? wynika z niej, że „wejrzenie" uchyli się wzrokowi).

„O, tak, tutaj **ukojona** jest każda tęsknota".

„**Powracać** zatem znów w **ten kipiący tygiel**... zmuszać się do smakowania... wystygłych resztek frazeologji, pozostałych z czasów **silniejszego polotu**".

„**tamtejsze niebiosa stały się zmącone** i nieprzejrzyste od tumanu szybujących frazesów".

„któżby nie pragnął... żyć tam, **żyć sobie** samotnie, **zamkniętym** we własnej prawdzie, w zaryglowanym domu".

„**dezercja od** sztandarów lojalności i woli humanitarnej".

„...z wszystkich stron spoglądała ta podobizna, sześciokrotnie, ośmiokrotnie patrzała zmartwiałemi oczami..."

„Tymczasem i tak wydarzyło się niewiele rozsądnego".

„...krzątali się kelnerzy bez marynarki".

„... miseczki i talerzyki napełnione pachnącemi ostro lub łagodnie były smakołykami"

Oto przykłady jasności i klarowności stylu tłumacza. Ale to nie wszystko. Ze stylu całej noweli widać dziwne upodobanie tłumacza do pewnych, „pięknie-brzmiących" słów, które stawia się na najniewłaściwszych miejscach. Stąd strona znaczeniowa użytego wyrazu kłóci się z logiką obrazu poetyckiego. Wstręt do prostoty wygląda u tłumacza w ten sposób, że nigdy naprzykład nie użyje słowa „spojrzenie", a zawsze „wejrzenie" Zamiast poprostu „widzieć", pisze „postrzegać". Niema w tej noweli nic okrągłego, wszystko jest „krągłe".

i „... mówca... był krągłym pocącym się filistrem..."

i „...w wielkiej, krągłej, jak jajo, sali...

i „przy krągłym stoliku".

I gdzie w tej manierze składniowej i napuszoności stylu jest owa reklamowana „jasność i klarowność"?

Władysław Sebyta.

*) Podkreślenie moje.

Suita lotnicza

Mieczysław Lisiewicz. Suita lotnicza. Warszawa 1932. Nakładem księgarni F. Hoesicka.

Zbiór wierszy na tematy lotnicze. Nie wyróżnia się niczem szczególnem. Podejścia do tematów banalne. Szereg utworów, ujętych w formę ballad o posmaku podwórkowym z powodu niezaradności autora w pracy nad znalezieniem właściwego wyrazu. Przykład: (O lotniku, który chciał lecieć nad oceanem):

Ponad ziemią nisko
jeszcze głowę ku miastu obrócił
gdyż doleciał go okrzyk rozpaczy:
„Już cię więcej nie ujrzę, zobaczysz!
Już ty więcej nie wrócisz, nie wrócisz..."

Mimo szlachetnych tendencyj autora. mimo miejscami może mimowoli wydobytej tragicznej grozy śmierci, wiszącej zawsze nad zdobywcami powietrza, cechuje tomik brak samokrytycyzmu i naiwne podejście do konstruowania wizji poetyckiej. Strona formalna właśnie stawia tomik na poziomie wypracowań wierszowanych. Dział „Typy" wykazuje nadmiar skłonności autora do traktowania poezji, jako rozrywki towarzyskiej. Przykład: Wiersz p. t. Moran - Saulnier Gnome - Rhone 80 HP.

Ważka lekka, ważka biała — silnik słaby,
Ma sylwetkę w powietrzu z czasów H.
Farmana i Awjacji
Nie robi hałasu,
Jest miły.
Nadaje się doskonale do spacerów i akrobacji...

W. S.

Ankieta o rozbrojeniu

W numerze 4-tym (kwietniowym) miesięcznika „Droga" znajdujemy ciekawe zestawienie odpowiedzi na ankietę o rozbrojeniu zainicjowaną przez „Journal de Nations" w Genewie. Z odpowiedzi tych widać wyraźnie, że przedstawiciele elity intelektualnej i dyplomatycznej świata, oceniają nader sceptycznie możliwości techniczne i rezultaty praktyczne mechanicznego rozbrojenia — przewidując konieczność powstania jakiegoś wyższego autorytetu moralnego i prawno-politycznego, zdolnego rozstrzygnąć ten arcytrudny problemat.

Znany socjolog i historyk włoski, Guglielmo Ferrero pisze m. i.: „stawia się wojnę poza prawem, a świat się zbroi, jak gdyby wojna powszechna miała wybuchnąć jutro. Niepodobieństwem jest dalsze istnienie tej sprzeczności... Historja Europy ostatnich 140 lat od czasu rewolucji francuskiej rozwijała te sprzeczności i węzeł przez nią zadzierzgnięty nie może być rozcięty, lecz musi być cierpliwie rozsupłany... Sprzeczność, o której mówiłem, nie może trwać wiecznie i skończy się długą i katastrofalną wojną, albo pacyfikacją powszechną. Trzeba aby społeczeństwa zrozumiały, w jakich nierozerwalnych sprzecznościach uwikłały się rządy. **„Pokój nie może spoczywać na hipotetycznej równowadze uzbrojenia".**

A premjer Jorga (Rumunja):

„Należy pomyśleć o rozbrojeniu, które pomija się milczeniem: o rozbrojeniu moralnem, tej pracy wewnętrznej, dzięki której możnaby zabić okrutnego potwora, czającego się w formach naszej cywilizacji".

B. włoski minister spraw zagranicznych C. Sforza wypowiada dwie ważne myśli: 1.) „Bezpieczeństwo międzynarodowe jest przedewszystkiem zagadnieniem **psychologicznem**" (obyż to wzięli pod rozwagę dyplomaci wierzący w skuteczność mechanicznych środków naprawy, w ograniczenia, klauzule i zakazy — **przyp. red.);** 2.) „Dyplomacja jest lichą kierowniczką, lecz cennym wykonawcą". Ponieważ dotychczas kierowniczką spraw politycznych świeta jest dyplomacja, słowa p. Sforzy prowadzą do prostego wniosku, że jesteśmy licho kierowani. To powołuje konieczność powstania autorytetu, w postaci instytucji prawnej, czy choćby wspolnej zasady moralnej, lub doktryny filozoficzno-społecznej — jako kierowniczki, w stosunku do której dyplomacja byłaby tylko wykonawcą.

P. Sforza pisze jeszcze: „Główne niebezpieczeństwo, grożące konferencji (rozbrojeniowej), polega na tem, że mogłaby się stać nową wieżą Babel — gdzie słowa zmieniałyby swe znaczenie stosownie do podstępnych myśli i zachłanności tych, którzy je wypowiadają".

A oto ostrzeżenie prof. Alberta Einsteina: „Czyż trzeba nowych katastrof, by przekonały świat o konieczności podporządkowania się decyzjom międzynarodowej, instancji prawniczej? Każdy zwolennik cywilizacj powinien oddać najlepsze swoje siły głoszeniu konieczności międzynarodowego czynnika między państwami". Mowa tu oczywiście nie o Lidze Narodów, bo p. Einstein mówi przecież: „Niestety, Liga Narodów jest tylko lokalem zgromadzeń, zaś Trybunał Rozjemczy nie posiada środków wykonawczych. Te instytucje nie dają żadnej gwarancji bezpieczeństwa..."

A więc idzie o nowy, wyższy czynik! Ale jaki?

Mówi się dziś dużo o prawdziwem „nadpaństwie" (którem nie jest Liga Narodów), ale z pojęciem tem wiąże się szereg trudności i niebezpieczeństw. George Bernhard, publicysta niemiecki wypowiada słuszną uwagę, że „stworzenie nadpaństwa poprzez dostarczanie mu policji i broni, ogranicza suwerenność państw poszczególnych" (ciekawa zbieżność z opinją Hoene-Wrońskiego o problemacie siły wykonawczej „nadpaństwa", czyli przyszłej Federacji Państw, wyrażoną w „Kodeksie prawodawstwa absolutnego")

Dr. Ludwik Bauer, autor sensacyjnej książki p. t. „Jutro znowu wojna": „Jeśli rozbrojenie moralne nie poprzedzi rozbrojenia technicznego, brak bezpieczeństwa międzynarodowego zaostrzy się jeszcze bardziej, albowiem ograniczenie zbrojeń daje panstwom skłonnym do grabieży olbrzymią przewagę nad temi, które mają być ograbione... Bez potężnej, międzynarodowej instancji, której zadaniem byłoby stać na straży praw — ograniczenie zbrojeń sprzyja pogróżkom, popycha do wojen zaczepnych i niszcząc resztki zaufania, tem samem zaostrza kryzys"

Emil Ludwig „nie spodziewa się dobrych rezultatów po Konferencji Rozbrojeniowej, chyba, gdyby zamiast polityków zaproszono na obrady **elitę międzynarodową,** złożoną z wielkich poetów, pisarzy i myślicieli — z wyłączeniem ekspertów, którzy w ciągu 12 lat bynajmniej nie zdobyli sobie chwały".

A więc rozbrojenie moralne, elita intelektualna — i nowa międzynarodowa instancja prawna. Oto realny, oczywisty wynik ankiety

Numer 3-ci ukazuje się z 4-dniowem opóźnieniem nie z winy wydawnictwa, lecz z powodu nagłego zamknięcia przez władze drukarni, w której drukowaliśmy „Z e t".

Kordjan i cham

(Leon Kruczkowski: **Kordjan i Cham**. Powieść. 365 str. Kraków, 1932. Gebethner i Wolf).

Nie należy zbyt dosłownie brać przesadnie skromnych zapewnień autora, piszącego w przedmowie: „Praca moja polegała przedewszystkiem na zorganizowaniu i dramatycznem uruchomieniu materjałów historycznych, zebranych wzdłuż przyjętej osi tematycznej. Tą osią jest sprawa chłopska w Królestwie Kongresowem, w dobie poprzedzającej bezpośrednio wybuch powstania listopadowego". — Materjały — swoją drogą, a swoją drogą „Kordjan i cham" jest powieścią, i to ze szczerym talentem napisaną. Cieszy język tej książki; stylizacja nie zabiła stylu, który jest celowy, jednorodny, bardzo świadomy i od początku do końca dobrze wytrzymany. Pod względem artystycznym zarzuciłbym tylko parę chwytów, które pozwolę sobie nazwać „komunałami sytuacyjnemi". Utarło się, że, jeśli w powieści ksiądz gromi chłopka, jedzącego kiełbasę w piątek, to zaraz potem musi sam jeść u znajomych ostrygi i kawior; utarło się, że chorej z niedojadania robotnicy lekarz musi zalecić wyjazd na Riwierę. Pan Kr. dopuścił się dwu czy trzech łatwizn, niemal równie rażących: panna Aniela i tomik romantycznych wierszy, pan komisarz i tłuste skrzydełko kapłona...

Co do treści, to powieść jest tendencyjną, czyli że autor nie pisał jej z obojętnym objektywizmem, a czytelnik nie może jej obojętnie przeczytać. Że zaś ta nieobojętność ma w uściech naszych smak wcale cierpki i że żołądek nam od niej gorzknieje — czy to wyłącznie wina autora? Gdybyż tak było! albo raczej: czemuż tak nie jest! Cóż łatwiejszego, niż w krótkiej drodze stwierdzić, że p. Kr. jest bolszewikiem, że poprostu oszkalował naszą przeszłość — i uspokoić się. Niestety, jest to lekarstwo dość nieskuteczne na owo pozostałe w głębi naszych sumień amari aliquid. Idzie o to, że autor nas budzi; a wszak pamiętamy jeden z najzłośliwszych norwidowskich essayów, gdzie na pytanie: czy wogóle można człowieka obudzić grzecznie? odpowiedź wypadła przecząco.

Zdaje się nie ulegać kwestji, że p. Kr. dał obraz jednostronny, jakby nie potrafił w całej naszej przeszłości szlacheckiej dojrzeć ani jednej jaśniejszej barwy. Ale na to mógłby nam autor odrzec, iż jego w tej powieści obchodziła wyłącznie kwestja ówczesnego położenia chłopów w Polsce i że z tego specjalnego stanowiska nie dało się nic dodatniego powiedzieć o szlachcie. A w takich rzeczach sprawa ideologji samego autora schodzi na plan dalszy; jeśli owiem zdoła on przeprowadzić dowód prawdy, to wszystko jest w porządku, choćby miało nam to być najprzykrzejsze. Zatem spierać się z p. Kr. możnaby tylko na podstawie materjałów faktycznych; a tu pozycja autora jest, jak się zdaje wcale mocna. A choćby komu nawet powiodło się wykazać mu, że potraktował stosunek „panów" do chłopów zbyt schematycznie i ryczałtowo, naszemu sumieniu historycznemu ulżyłoby to quantitative tylko, a nie qualitative. Co tu gadać? dobrze w tym względzie nie było i niema się czem poszczycić. Inna rzecz, czy wnioski autora, wyrażone implicite lecz dostatecznie wyraźnie, są jedynemi, jakie wogóle wysnuć wolno. Oto parę moich pobieżnych gloss marginalnych.

Czy można uważać „uprzywilejowanych" a „upośledzonych" za dwa odrębne (psychicznie) gatunki, jak odrębnemi (zoologicznie) są np. wilki i owce? Czy, w sferze ludzkiej, przynależność do jednego z tych dwu gatunków nie zależy prawie całkowicie od okoliczności zewnętrznych? Czy owce, niemal z reguły, nie są wilkami względem jeszcze mniejszych i słabszych owieczek? Czy nie było przykładów, że wilki dobrowolnie przechodziły do „obozu" owiec? Czy owce, przy nadarzonej sposobności, z dobrym apetytem nie zjadają wilka? Stąd wynikałby — a podkreślam to grubą linją — wniosek nie bardziej optymistyczny niż u p. Kr., lecz owszem daleko bardziej pesymistyczny. Ten mianowicie, ze bez względu na to, do którego gatunku należymy zewnętrznie, w duszy naszej zawsze czai się wilk. I **że** stamtąd — to należałoby go wypłoszyć przedewszystkiem. I że jest on zwierzem o wiele zjadliwszym i obrzydliwszym, niż się naogół domyślamy. Religje zwą go djabłem; Wroński zwie go zasadą zła absolutnego (a u Wrońskiego przymiotnik ten nie jest zwykłym sobie superlatywem).

Na takie wywody odpowiedź brzmi zazwyczaj: Skoro winne są okoliczności zewnętrzne, to właśnież trzeba je zmienić; bez tego owo wypłaszanie wilka jest mrzonką, poczciwą fikcją religjancką. — Tak jest, zmienianie, stwarzanie okoliczności — to jedna z najszczytniejszych prerogatyw Człowieka. Ale niestety, w konkretnie nas tu obchodzącym przypadku, owo zmienianie odbywało się zawsze w sposób, który jest właśnie doskonałą szkołą „wilkostwa" dla ci-devant owiec. Owóż trudno zaprzeczyć, że pokrzywdzenie krzywdziciela sprawia czasem złośliwą radość, która może nawet jest czemś trochę wznioślejszem od prostej mściwości, czemś zbliżonem do prymitywnej jakiejś sprawiedliwości. Lecz satysfakcja ta krótko trwała i dość pośledniego rodzaju. To wszystko, czego wynikiem jest zwykła zamiana ról, może zadowolić kogoś jednostkowo, hic et nunc, ale nie może być ani celem absolutnym, ani przykazaniem powszechnem. Trzeba więc pomyśleć o takiej zmianie okoliczności, jakiej dotąd jeszcze nie było; a do tego potrzeba również i zasad, jakich nie było jeszcze. Najtęższy zdrowy rozsądek i najczystszy entuzjazm zgoła już tu nie wystarcza. Idzie o zasady absolutne, t. j. tak apodyktycznie obowiązujące dla rozumu, jak prawdy matematyki. Czy takie zasady są wogóle możliwe? czy istnieją? gdzie ich szukać? Jeżeli pismo, w którem to drukuję, nie da na to pozytywnych odpowiedzi, nie spełni ono swego zadania.

A co do mrzonki?... Tu rozstrzygać mógłaby albo jakaś filozofja absolutna, albo, skoro się nie chce czy nie może sięgać tak wysoko, oczywiście tylko doświadczenie. A chyba każdy przyzna, że doświadczenie jak dotąd nie dało żadnego zachęcającego przykładu takiej czysto mechanicznej zmiany, któraby naprawdę czyniła zadość głębokiemu poczuciu słuszności. Natomiast ileż razy wewnętrzne, duchowe przewroty miały taki właśnie skutek. Trzebaż przytaczać historyczne przykłady ludzi, których nietylko fideista zgodzi się nazwać świętymi? (Tymczasem Derkacz poszedł znów wyrzynać niewinnych ludzi — dlatego tylko, że mu umarła żona). Co zaś jest możliwe dla jednostek, to zasadniczo jest możliwe, albo przynajmniej nie jest niemożliwe, także dla powszechności.

A zatem niech wszystko zostanie po dawnemu? No nie; niech Bóg broni. To np., co opisuje p. Kr., gdyby nawet nie było tak dalece ogólne, jak z jego powieści wynika, pali zbyt bolesnym wstydem. Zresztą, pomijając już pobudki subjektywne trzeba uświadomić sobie zupełnie przedmiotowo, że abym mógł od kogoś żądać cierpliwego znoszenia warunków bytu niewspółmiernie gorszych niż moje, powiniennem mu dać jakąś rozumną tego rację. Tylko brak takiej racji powoduje bunt wewnętrzny Najemnik nie wtedy się buntuje, gdy mu **jest źle, tylko** wtedy, gdy nie widzi, czemu jego przełożonym ma być o tyle lepiej. Podobno przed paru laty robotnik amerykański żył czasem dostatniej niż niejeden polski inżynier; a czyż się nie burzył? Pisał kiedyś Miecznikow, że ponieważ oddaje na pożytek ludzkości swą pracę czas i umiejętność, i ponieważ nie mógłby tego czynić, orząc jednocześnie na swym folwarku, więc nie ma ani najsłabszych wyrzutów, że wielu włościan orze i sieje za niego. Bo też istotnie: ultra posse nemo obligatur. Ukażmy ludziom cele tak ogromne i tak przeczyste, że dla ich dopięcia nie będzie szkoda żadnej pracy i żadnego wyrzeczenia; **dowiedźmy**, że my ze swej strony robimy dla ich osiągnięcia wszystko na co nas stać. Lecz kazać komuś mordować się i poniewierać od kolebki do grobu w tym jedynym celu, bym ja mógł się stroić, smacznie jeść i mieć ładne kobiety — to doprawdy nadmiar czelności, a dziś — także nadmiar naiwności...

I tu oto **tkwi** zasadniczy, straszny grzech tych beati possidentes, co nie chcą widzieć olbrzymiego długu, jaki z racji swych wyjątkowo sprzyjających warunków zaciągnęli u teraźniejszości i przeszłości, a spłacić powinni przyszłości. Komu więcej dano, od tego nie mniej, ale więcej się żąda. Skoro ktoś sprzątnie mi pokój i ugotuje obiad, przez to umożliwiając mi badanie i myślenie, niechże się staram wpłacić, do ogólnego skarbca ludzkości, ratę wiedzy i za siebie, i za tych, co mi sprzątali i gotowali. Inaczej, pozostanę w wiekuistości **tylko** dłużnikiem, czyli najnędzniejszym z nędzarzy... a bodaj i nędzników. Jeśli nieszczęśliwa ludzkość przeżyła już tyle okrutnych a mało skutecznych konwulsyj, to winę ponoszą ci przedewszystkiem, którzy swój dobrobyt uważali nie za pożyczkę inwestycyjną, lecz za konsumpcyjną premję; którzy widzą zło i mając możność dociekać rozumem jego źródeł przez egoizm i gnuśność pozostawili rozstrzygnięcie tym, co takiej możności nie posiadali i przeto musieli się kierować tylko mniej lub więcej dzikiemi odruchami, głuchem poczuciem krzywdy, żądzą zemsty.

Scenę z kazaniem w kościele i specyficzną reakcją duchową Derkacza na to kazanie — można, oczywiście, nazwać antyreligijną, scenę zaś końcową (odmowa Deczyńskiego przystąpienia do powstania) anti-patrjotyczną. Ale mnie się zdaje, że tu znowuż mniej nam powinno zależeć na osobistych poglądach autora, a więcej na tem: czy takie kazania i takie postawy istnieją? Skoro zaś istnieją, to wstydliwe przemilczanie jest dość mizernem lekarstwem. I kto ciężej „grzeszy przeciw Duchowi Św.", ten kto nie dorasta do zrozumienia transcendentnej i wiekuiście niewzruszonej treści religji, czy ten, kto mając całe życie do zgłębiania tej treści, tak mało się nią przejął, że nie waha się jej użyć do bardzo immanentnych, bardzo konkretnych i bardzo doczesnych celów? Wytknąć chrześcijaninowi jego niedostateczne chrześcijaństwo — czy to grzech? Źle jest dopiero, gdy się go prześladuje właśnie za jego chrześcijaństwo. Słyszy się nieraz jako zarzut przeciw doniosłości religji, że wprawdzie moralność chrześcijańska jest wzniosła, ale moralność chrześcijan — o wiele niższa. Ano, smutne to, lecz dla religji bynajmniej nie groźne; na śmierć skazana jest tylko taka doktryna, której ideały etyczne czy światła rozumowe stoją **poniżej** ideałów i świateł jej dotychczasowych wyznawców. Piękniej wygląda człowiek biegnący ku słońcu, niż ten, któremu się zdaje, że słońce a on — to jedno.

Dziwnie doprawdy dzieje się z tym idealizmem! Deczyński, odrzucający powstanie, ponieważ nie spodziewa się żadnych stąd korzyści dla siebie i swoich, prawdopodobnie uważa się za idealistę; niejeden inteligent-materjalista, upatrujący w dobrobycie fizycznym jedyny rzetelny cel ludzkości, dałby się za tę ideę posiekać, choć niczby na tem nie zyskał — czem daje właśnie dowód, że nie tylko dobrobyt może być celem. Mens manet invicta.

Widać interesowność bywa czasem bezinteresowna, a bezinteresowność interesowna. Widać człowiek jest mały, **ale** Człowiek wielki. Widać koniecznie chce mu się przeróść samego siebie — chodzi tylko o dostatecznie wielki ideał.

Cz. Jastrzębiec-Kozłowski.

Sprostowanie. W poprzednim moim artykule (Zet nr. 2, str. 4, szp. 2, wiersz 9) zamiast „monarchizm" ma być, oczywiście, „anarchizm".

Burza nad brukiem

Michał Rusinek: Burza nad brukiem. Powieść. Nakład Gebethnera i Wolffa w Warszawie. 1932.

Kilka ostatnich lat oznacza poważny postęp na polu prozy. Zainteresowanie prozą, jako środkiem ekspresji artystycznej, ogarnia coraz większe zastępy pisarzy. O ile okres powojenny charakteryzował bujny rozkwit liryki, obecnie — raz po raz spotykamy ciekawe zjawiska w prozie. Poeci zrozumieli, że i w tej dziedzinie jest niemało do zrobienia, że otwierają się tutaj szerokie perspektywy twórcze.

Książka Michała Rusinka jest właśnie takim rzeczowym dowodem i przykładem rozmiłowania się poety w mowie niewiązanej traktowanej jako instrument ekspresji artystycznej. To nie jest powiastka, której zadaniem byłoby opowiedzieć czytelnikowi kilka zabawnych historyjek, awantur, przygód; to nie jest grzeczna, nie męcząca lektura „wagonowa". Autor nie stara się być słodki, przyjemny, delikatny, schlebiający gustom, wyrobionym na tandecie literackiej.

Bohater jego powieści to syn dozorcy domowego. Rusinek nie idealizuje środowiska, nie gardzi tu i ówdzie jakimś drastycznym szczegółem, czy powiedzeniem. Przecież ambicją jego nie jest ani naturalistyczne rozgrzebywanie t. zw. nizin życia społecznego, ani kaznodziejstwo społecznikowskie. Brutalność, jaskrawość niektórych epizodów nie ma na ogół cech odrażających, należy do gatunku, jaki spotykamy u Berenta („Próchno") lub Żeromskiego. Jest przetransponowana na walory sztuki.

Już sam styl autora daje wrażenie tężyzny. Jędrność metafor, dosadność porównań, przeważnie udanych, nieprzejaskrawionych (choć o to było łatwo, więc gdzieniegdzie trafia się jakiś zwrot mniej przekonywujący) oto zalety książki.

Rusinek zdołał również uniknąć niebezpieczeństwa monotonji nastroju i obok gwałtownych, pozbawionych sentymentu scen znajdujemy akcenty rzetelnego liryzmu w epizodach z matką, jak np. w momencie, gdy Piotruś czyta chorej matce zmyślony list od brata, który poległ na froncie.

Autor potrafi być drobiazgowy w opisach, ale drobiazgowość jego nie jest gubieniem się w szczegółach, — służy jako czynnik konstrukcyjny w budowie całości.

Rozruchy antyaustrjackie i antypaskarskie w Krakowie (rok 1918) wmontowane są z rozmachem i dużą plastyką. Podobno rozdziały te ściśle odtwarzają prawdziwe wydarzenia. W „Burzy nad brukiem" zajmują znaczne miejsce. Czy nawet nie zanadto duże? Coprawda musiał to autor uczynić świadomie, jak o tem świadczy tytuł książki. Najwidoczniej chodziło mu o ukazanie rozwijania się i dorastania Piotra na tle owej burzy. Mimowoli budzi się refleksja: co za człowiek wyrośnie z tego chłopaka, który wychował się prawie, że na ulicy, miotany jej wpływami. Wszakże ciekawość, jaką budzi powieść Rusinka nie ogranicza się do perypetyj zewnętrznych centralnej postaci. Ważną rolę odgrywa tutaj środowisko Piotra: miasto. Autor nie ułatwia sobie zadania przez pośpieszne syntezy i uogólnienia. Zaczyna budowę utworu cierpliwie, skromnie a trafnie od faktu drobnego, dochodząc następnie, bez wysiłku, niejako samo przez się, do ogólniejszego obrazu. Powieść jego ukazuje w syntetycznym skrócie jednostkę, obijającą się o wielkomiejskie mury. Rzecz urywa się dosyć nagle wyjazdem Piotra do Gdyni, po szczęśliwem przypadkowem sprzedaniu patentu na wynalazek. Autor zapowiada ciąg dalszy powieści; będzie to w sumie cykl dwutomowy.

J. J.

Czesław Miłosz.

TEATR PCHEŁ

Świt jest. Zwolna powstaje z mgły 30 mostów
Rzeka w ocembrowaniach szumi brudną wodą.
Auta wiozą jarzyny. Dymem opleciony
Słup nieba ponad miastem i błyszczą cysterny.

Czterech ludzi na pustym bulwarze.
Czarne płaszcze wiatr zimny rozwiewa.
Odwracają od siebie twarze.
Szepcą w kołnierz, a wiatr gasi szept.

I.

Gdy mamusia mnie pieściła i do snu układała pod kołderką.
Bałem się huku armat za oknami.
Śpij, mówiła
I nie wiedziała wcale, nie,
O, nie wiedziała wcale,
Że chcę mieć bębenek z ludzkiej skóry,
Bębenek murzyńskich czarodziejów,

Nie wiedzą matki, jak się stajemy wodzami:
Laur na czole wyrasta nagle,
Czoło naiwne swoim cieniem plami.

II.

Oto walczysz, mocno zaciskasz paznokcie na żyłach swojej ręki, i myślisz ze trwogą, i boisz się, czy starczy ci perwersji mózgu, by stworzyć to, co pragniesz, by było stworzone.

Śledzisz ruch swego ciała, a kaszel napełnia serce twe przerażeniem.

Jeżeli gruźlica rozerwie twe kurczowo zwarte szczęki, wtedy będziesz pasem transmisji, który opadł z kół.

III.

Silny szron w trawach nogi czerwone palił.
Trąby z brzozowego drzewa grały po niskich borach,
Zabijałem żmije ciosem bata
I czekałem, aż bydło można przygnać do wioski,
A wieczorem
Wszyscy patrzyliśmy na fotografję, przysłaną
Przez brata
Z Ameryki.
Miał tam auto i nosił krawat na codzień,
O, jakże musiał być szczęśliwy.

A kiedy zacząłem pracować w kopalni potasu (okręg Milhouse), posłałem do domu fotografję gdzie uśmiechałem się przy Citroenie.

Citroen był na płótnie, Citroen był na płótnie.

IV.

Stajesz się bardziej mądry, prawie doskonały, gdy na skrwawione twarze umiesz patrzeć bez kurczowego uśmiechu tłumiącego ból!

Jeżeli stuk twoich kroków dostarcza ci największej radości — to czar dni prostopadłych, które mijasz, idąc, zasłuchany w spokojny, piękny rytm oddechu.

Lira nocy i czas utracony, niegodne potrącenia twym palcem, choć dzwonią jak szkło.

Ty skręcasz pukiel swoich szorstkich, rdzawych włosów, a to jest struna lutni i jedyna aureola nad czołem.

Ludzie podnieśli głowy.
Dotknęła ich głów wypukłość nieba nagle
I spostrzegli swe wyciągnięte kształty jak w zwierciadle,
W soczewce, sklejonej z niebieskawych szkieł,
A przez nią miljony oczu
Śledziły, podziwiały, patrzyły
Na teatr pcheł.

O nową dekorację dla komedji współczesnej

W przeciągu ostatnich lat (mniejwięcej) trzydziestu, dekoracja teatralna przeszła na scenach warszawskich zasadniczy przewrót. Płytka scena, scena rotacyjna, system kotarowy, wszystkie te nowiny i nowinki dające od czasu do czasu dziwolągi pseudoinscenizacji, stwarzały jednak przeważnie precedens do wysiłków poważnych, mających nieprzemijające znaczenie w historji polskiej sceny, wpływających niejednokrotnie na kształt sceniczny utworu, t. zn. idących raczej w kierunku inscenizacji, w kierunku, w którym iść powinny wysiłki każdego plastyka scenicznego.

Wszystko to jednakże dotyczyło tylko i jedynie t. zw. wielkiego repertuaru, oraz sztuk stylowych. Komedja współczesna pozostała nietkniętem „tabu", w stosunku do którego nie może być mowy o inscenizacji, tylko poprostu o reżyserji i to w sensie ściśle realistycznym, — a do którego dekorator, machnąwszy ręką, komponuje jeszcze jedno „gustowne wnętrze", względnie „ogród zalany słońcem". W sumie sprawa przedstawia się tak: sztuka wielkiego repertuaru ma do rozporządzenia poza tekstem o ustalonej tradycji, twórczą współpracę reżysera-inscenizatora, malarza, muzyka i aktorów — komedja współczesna przy tekście, który zawsze przedstawia pewne ryzyko—tylko reżysera i aktorów (nota bene grających role czołowe, gdyż o poziomie gry statystów w tych sztukach lepiej nie mówić). Rola malarza ogranicza się przeważnie do roli tapicera-dekoratora. Jakże wobec tej redukcji sił artystycznych ma się przedstawiać poziom artystyczny widowiska?

Zdarzało się nieraz w stosunku do przedstawień z zakresu wielkiego repertuaru, że taka czy inna oprawa dekoracyjna wywoływała z jednej strony protesty i oburzenie przeciwko „bolszewickim pomysłom", a z drugiej oszołomienie i zachwyt z powodu ukazania „nowej drogi", będącej, jakże często, dobrze już sobie zagranicą udeptanym gościńcem. Niemniej jednak dyskusję wywoływała i zwolna publiczność rozsmakowywała się w tem, jeśli się tak można wyrazić — nadprogramowem wrażeniu artystycznem, zaczynała mieć własne, niezależne od krytyki zdanie, tworzyła pewien specjalny snobizm teatralny, snobizm z góry sprzyjający wszelkim eksperymentom i jak każdy snobizm wytwarzający atmosferę dla sztuki pomyślną. I tu pogłębia się nieporozumienie: ta sama publiczność, której wykształcony już smak uważałby za niemożliwe (biorąc pod uwagę utwory jednej epoki) jednakowe dekoracje do — przypuśćmy — „Fantazego" i „Kapelusza słomkowego" Labiche'a, nie dziwi się, a nawet uważa za naturalne jednakowe traktowanie „Lekarza na rozdrożu" i „Nocy poślubnej" Ellisa. Jest to nieporozumienie mocno już zakorzenione. We wszystkich tych komedjach wnętrza różnią się między sobą tylko o tyle, o ile różnym jest stopień zamożności bohaterów, gdyż nawet poziom kulturalny nie gra tu żadnej roli. Gabinet uczonego różni się od salonu geszefciarza tylko pewną ilością książek porządniutko ustawionych na modnych półkach. Są to wnętrza najzupełniej pozbawione charakteru, wnętrza hotelu czy pensjonatu, pozbawione tego specyficznego życia, jakie nadaje swemu mieszkaniu jednostka, bodaj przez pewien charakterystyczny nieład. Czy jeśli chodzi naprzykład o ostatnie wystawienie „Pigmaliona", można było wywnioskować cośkolwiek o charakterze Higginsa, patrząc na jego gabinet? Czy można było przypuścić, że te książki były kiedykolwiek czytane—jeśli tak ładnie i porządnie leżą na półeczce, że wszystkie te aparaty były kiedykolwiek używane, jeśli są takie nowiutkie, tak estetycznie i dekoracyjnie ustawione, tak poprostu nie zabierają miejsca. I te kaktusy! Czyż jest do pomyślenia, żeby człowiek taki jak Higgins hodował kaktusy! I dopiero w akcie następnym z paru zdań dowiadujemy się o charakterze Higginsa, tego wszystkiego, co powinna nam o nim powiedzieć dekoracja aktu poprzedniego — w przeciągu którego mogliśmy poważnie wątpić w prawdziwość eksperymentu z Elizą, patrząc na wnętrze, w którem prędzej można sobie było wyobrazić gentlemana o zacięciu don Juana, niż uczonego dziwaka.

Przed paru laty na scenie teatru „Małego" wystawiono „Malowaną żonę" Magdaleny Samozwaniec;—wspominam o niej jedynie dlatego, że dekoracje tej błahostki (doskonałe, humorystyczne pseudoformizmy) stały prawdziwie na wysokości zadania—były utrzymane doskonale w tym samym charakterze, co tekst, stwarzały atmosferę przygotowującą do wysłuchania tej serji „wiców", która w innej oprawie byłaby nieznośna i nużąca. To była dekoracja o podkładzie charakterystycznym, dekoracja samodzielnie dowcipna.

Wogóle o ile dekoracje sztuk stylowych istnieją (a przynajmniej mają to założenie, aby istnieć) jako samoistne dzieło sztuki i stanowią pewną zamkniętą kompozycję, oddając pod kątem widzenia malarza charakter sztuki — o tyle dekoracje komedyj współczesnych, szkice wnętrz mogłyby być równie dobrze projektami jakiejś firmy Lelen w Paryżu, lub nie razić jako oprawa warszawskiej rewji mody—podczas gdy mają być tłem ironicznej dyskusji Shawa.

I ten właśnie zupełny brak charakteru, ta powiedzmy neutralność artystyczna dekoracji komedjowej, sprawia, że można ją właściwie uważać za nieistniejącą, ponieważ nie wnosi ze swej strony nic do scenicznej koncepcji utworu. Ośmielę się twierdzić, że niedość wielkie zrozumienie i zainteresowanie się warszawskiej publiczności Shawem, jest właśnie wynikiem nieodpowiedniej dekoracji, a raczej braku dekoracyj naprawdę „shawowskich", któreby publiczności poddały odrazu klimat tych scenicznych dyskusyj. Dekoracja dzisiejsza nie spełnia swego zadania. — nie poddaje tonu sztuki, zanim w grę wejdzie słowo—nie stwarza tej atmosfery indywidualnej dla każdej sztuki i — twierdzę stanowczo — dla każdej sztuki j e d y n e j, w której może być wysłuchaną. Przeważnie dekoracja dzisiejsza atmosferę tę zupełnie zatraca, dając sztuce tło nie podkreślające jej charakteru, przeciwnie, banalizujące ją.

Halina J. A. Krüger.

Zycie teatru

Jeszcze z powodu inscenizacji **„Cara Lenina"** w Teatrze **Ateneum**. — **„Sto dni"** według scenarjusza B. Mussoliniego napisał J. Forzano (w teatrze **Narodowym**).

Bardzo znamienna jest reakcja krytyki na tego rodzaju widowiska, jak inscenizacja sztuki Franc. Porché w teatrze **Ateneum**. To znaczy — na widowiska, ujęte z twórczym rozmachem reżyserskim, wychodzące poza „przepych" i „wspaniałość" zewnętrzną wystawy, poza standardowe spektakle, oparte na wypróbowanym szablonie.

Krytyka, ściślej: część krytyki, jest zakłopotana, zdenerwowana.

Dają jej bowiem do zgryzienia nieznanego u nas autora, montują widowisko... nieprzepisowo, niezgodnie z „tradycją": a także... nieoryginalnie (!).

Krytyka nie lubi nieznanych autorów, niewiadomo jakim tonem traktować ich próby. — Protekcyjnie? ironicznie? pobłażliwie? — Ale najgorsza rzecz, to z tą wystawą...

Wysoce perfidny jest zarzut braku oryginalności. Widzieliśmy te efekty inscenizacyjne — powiadają — u Meyerholda, Tairowa czy Jachtangowa, a nawet w kabaretach. Usunięcie kurtyny, schodki na widownię — nic nowego, wszystko to już było.

— Bagatela! Gdybyśmy chcieli odrzucać a limine wszystko „co było" — musielibyśmy przedewszystkiem zrezygnować z „normalnej" oklepanej od dziesiątków lat, ogranej doszczętnie wystawy realistyczno - konwencjonalnej. Ale nam nie idzie o popisywanie się samą oryginalnością. Nie wykluczamy też realizmu jako środka ekspresji scenicznej. Najgorszym wrogiem teatru jest nie ten czy inny kierunek, teorja estetyczna, lecz bezmyślny, wygodny konwencjonalizm, który stępia naszą wrażliwość na doznania, płynące ze sceny.

Nie należy zwalczać śmielszych prób inscenizacyjnych tylko dlatego, że ktoś, gdzieś czynił podobne wysiłki. Przedewszystkiem chodzi o to, czy dana forma sceniczna wydobywa z dzieła maksimum walorów, czy mądrze oświetla intencje autora...

Trudno dzisiaj zgodzić się z niezwykle ciekawymi teoretykami teatru, jak np. Gordon Craig, którzy uważali, że sztuka jest czemś podrzędnem wobec techniki realizacyjnej. Oczywiście, zgadzamy się z Craig'iem, gdy podkreśla ważność koordynacji następujących elementów widowiska: „gestu, który jest duszą gry, słów, które są ciałem sztuki, linij i barw, które stanowią dekoracje, rytmu, który jest istotą tańca". Wszakże słabością współczesnego teatru nie jest brak pomysłów inscenizacyjnych, lecz odpowiedniego repertuaru, literatury dramatycznej. W dziedzinie plastyki teatralnej dokonano sporo; w dziedzinie utworów scenicznych — w znacznej mierze korzystano z dawnej twórczości. Współczesny repertuar zapełniają przeważnie — sztuczki.

Oceniając pod tym kątem widzenia opracowanie sceniczne „Cara Lenina" musimy przyznać, iż reżyserja Iwo Galla postawiła „na nogi" sztukę Porché'go. Skupienie uwagi na głównym nurcie akcji — na ideowej stronie wydarzeń z pominięciem zewnętrznej „parady", sarabandy „rodzajowych" efektów — dało w rezultacie wcale ekspresyjną całość. Rozplanowanie sceny bardzo szczęśliwe: pośrodku wgłębi — akcja realistyczna, po bokach— świat symbolów, wreszcie na pierwszym planie (w II-im akcie — Lenin w górach Szwajcarji), akcja napoły symboliczna, zsynchronizowana z perypetjami rewolucji na dalszym planie. Pewną niekonsekwencją są realistyczne stroje figur - symbolów (przydałaby się stylizacja stonowana z irrealistycznym charakterem tych postaci), zwłaszcza, kiedy (może niepotrzebnie) zaopatruje się w maskę sprzedawcę gazet (akt II). „Rewolucja girls", jak nazwano żartobliwie postacie tancerek, mających, zdaje się wyrażać ironję losu — sprawiały bezceremonjalne wrażenie. Absurdalnością swego wyglądu (w zestawieniu z odnośnemi scenami przewrotów) powinnyby ucieszyć śp. S. Witkiewicza. Chyba jednak wystarczyłby jeden ich występ w tańcu rewolucyjnym...

Kreacji Jaracza — trudno o niej nie wspomnieć, mówiąc o „Leninie", — mogą pozazdrościć teatrowi Ateneum wszystkie teatry. Pod tym względem krytyka była jednomyślna.

Teatr Narodowy wystawił sztukę „Sto dni Napoleona" napisaną przez Joachima Forzano na zamówienie i wedle wskazówek Mussoliniego. To jest jedyna osobliwość tego utworu, który, jakkolwiek sporządzony z t. zw. poczuciem sceny — nie zawiera ani myśli oryginalnych, ani ciekawego ujęcia konfliktu. Jest to zimna adaptacja sceniczna fragmentów wielkich wydarzeń z przed stukilkunastu lat. Oczywiście, Napoleon po dziś dzień — niezależnie od tego czy go się darzy uwielbieniem czy nie— fascynuje, jako, bądź co bądź, niezwykłe zjawisko psychiczne. To też nawet na ten skromny (z punktu widzenia artystycznego) obrazek patrzymy prawie bez znudzenia — tak, jakbyśmy wertowali znany dobrze ilustrowany, popularny podręcznik historji.

Realizatorzy (reż. Solski i dekorator Frycz) poszli po linji „bohaterskiego patosu". Błyszczące stroje, brzęk ostróg, szastanie obcasami łączyło się z emfatycznemi okrzykami, wielkiemi gestami. Zajmującą sylwetkę stworzył Samborski, choć nieco przejaskrawił cechy „demoniczne" ministra Fouchè. Jest to zresztą najciekawiej ujęta przez autora postać. Mogłaby stanowić punkt wyjścia do nowej sztuki. Cóż mówić o innych? Napoleonem był Brydziński, emisarjuszem — Solski, pułkownikiem — Węgrzyn, słowem godna kompanja.

Jarosław Janowski.

Książka o Wyczółkowskim.

Dla uczczenia 80-ej rocznicy urodzin Leona Wyczółkowskiego wydał Jan Kuglin w Poznaniu Księgę Pamiątkową (Leon Wyczółkowski, Księga Pamiątkowa wydana w 80-tą rocznicę urodzin, Poznań 1932 r. str. 76 i 10 rycin) na papierze bezdrzewnym, ozdobioną szeregiem reprodnkcyj dzieł Wyczółkowskiego.

Na treść pięknie wydanej księgi składają się prace: ks. Szcz. Dettloffa (Leon Wyczółkowski w sztuce polskiej), A. Kleczkowskiego (Notatki biograficzne), N. Pajzderskiego (Wspomnienia), Stan. Wasylewskiego (Wielkolud), Lud. Pugeta (Ten który się bawi), J. Kollera (Kwiaty Leona Wyczółkowskiego), J. Bocheńskiego (Patrzcie, patrzcie młodzi...), Wład. Lama (Wyczołkowski jako grafik), Jana Kuglina (Jak powstała „Teka Pomorska"), J. Kollera (Zbiory Wyczółkowskiego w Muzeum Wielkopolskiem w Poznaniu), Zygm. Zaleskiego (Cykl poznański L. Wyczółkowskiego) i J. T. Mareckiej (Fragmenty), oraz wiersze Al. Janty Połczyńskiego, A. M. Swinarskiego i Jana Sztaudyngera.

Stanisław Bąkowski

OWIES WYŻYNNY

Cóż to za smutek pośród cichych dyszeń
zawisł nad maską twardej, zimnej złości?
To nad piersią kamienistych grud
karli owies się kołysze.
W hardej spadziźnie rok za rokiem
człowiek w znoju śmiertelnym wyorze
kupę głazów z ojcowej dziedziny.
I cóż mu to pomoże?
Na dziesięć ziaren — dziewięć trafia na opokę —
w pełni lata garstka kłosów chudych
nad uparte dźwignie się łysiny.
nad spalone słońcem, a w żywocie
brył krzemiennych pełne — grudy.

Na granicy krzywych, stromych pól
stoi góra — górze wydartych kamieni:
wyniesiony rękami krwawemi
niemiłosierny ludzki ból ---

Mercure de France o Wrońskim

Prof. Z. L. Zaleski, stale w Paryżu mieszkający autor bardzo pięknej pracy p. t, „Dzieło a twórca", daje w poważnem czasopiśmie **Mercure de France** z 10 stycznia br. obszerny (trzydzieści str.) artykuł o Hoene - Wrońskim, pt. „Un Dispensateur de l'Absolu". Wdzięczność należy się Szan. Autorowi za to, że w czasach coraz potężniejącego w całej Europie zainteresowania filozofją absolutną Wrońskiego, zaznajamia z tym niezwykłym myślicielem szersze koła czytelnicze, do których nie docierają prace czysto naukowe. Artykuł ujmuje nas wytworną formą literacką i świadczy o samodzielnych, choć może niedość jeszcze pogłębionych*) studjach nad Wrońskim. Pozwalam sobie przytoczyć parę zastrzeżeń i parę uzupełnień.

Autor pisze: „Tych kilku uczonych specjalistów, których miałem sposobność spytać o wartość prac matematycznych Wr., odpowiadali mi naogół w takim sensie: wiadomości nader rozległe lubo nieco bezładne, wielkie bogactwo pomysłów antycypacyj, genjusz wynalazczy, ale pewien brak dyscypliny, odkrycia niedostatecznie wykończone, dawno już pozostawione wtyle przez pochód zdobywczy nauki nowoczesnej". — To końcowe twierdzenie wydaje się bardziej apodyktyczne niż słuszne. Należy bowiem zaznaczyć z naciskiem, że dotychczas, t. j. w ciągu 120 lat, matematycy nie doszli do jednomyślnej oceny prac matematycznych Wr. W rzeczy samej: Lagrange, jeden z najgenjalniejszych matematyków wszystkich czasów, oceniając „prawo najwyższe algorytmji", przyznał, że Wr. ze swego wzoru wyprowadza wszystkie znane dotychczas wzory na rozwijanie funkcyj. „Prawem najwyższem" zajmują się też Niemcy: Dubois-Reymond przyznaje mu znaczenie czysto formalne, gdy H. Burkhardt (w klasycznem swem dziele: „Entwicklung nach oscillierenden Funktionen etc" daje piękny wywód tego prawa. M. Simon nawołuje do studjowania dzieł Wr. — Co do „problematu powszechnego", to słynny matematyk ang. Cayley po 60 latach wyprowadza ponownie ten wzór, a matematyk franc. A. Transon przypomina światu uczonych o wadze tego wzoru i wogóle odkryć matematycznych Wr. U nas prof. Banachiewicz, dyr. obserwatorjum w Krakowie, z powodzeniem stosuje „problemat powszechny" do pewnego dość trudnego zagadnienia z dziedziny astronomji teoretycznej. Co do rozwiązywania równań, to metoda Fürstenaua niemal identyczna jest z dawniej podaną metodą teleologiczną Wr. — Czy odkrycia Wr. są istotnie przedawnione? Otóż znana paryska firma wydawnicza J. Hermann w 1925 wydała dzieła matematyczne Wr. w czterech tomach; pierwotną cenę 500 fr. podniesiono wkrótce do 700 fr., co dowodziłoby, że dzieła te cieszą się wielkim pokupem. Ze współczesnych matematyków polskich, prof. Krygowski przyznaje, że Wr. zajmował w matematyce skrajne stanowisko i usiłował ogólnością swych metod zreformować analizę matematyczną, lecz że wysiłki te nie dały pożądanego rezultatu, wymagały bowiem pomocniczych prac najwybitniejszych matematyków, prof. zaś Zaremba twierdzi, że i dziś nawet zagadnienie „prawa najwyższego" nie da się rozwiązać; tymczasem matematyk rosyjski A. Adamow zajmuje się tem samem zagadnieniem (w pracy „O razłożenijach proizwolnoj funkcji odnoj wieszczestwiennoj pieriemiennoj w riady, raspołożennyje po funkcijam opriedielennago roda", Petersburg 1907) i praca ta znalazła wielkie uznanie u ros. matematyka Stiekłowa; ponadto matematyk rosyjski A. Bobynin uważał Wrońskiego nietylko za najwybitniejszego, lecz wręcz za jedynego filozofa matematyki. Pozatem szereg matematyków francuskich, hiszpańskich, włoskich wypowiedziało się pochlebnie o odkryciach Wr.; przypomnijmy też, że nazwa pewnych funkcyj wyznacznikowych zachowała miano Wrońskiego (t. zw. wronskiany). Mechanika niebieska Wr. znalazła wielkie uznanie u astronoma franc., członka Instytutu, Yvona Villarceau.

— Bardzo słuszna jest uwaga autora o wpływie, jaki Wr. wywarł na Baudelaire'a. Czyż np. ustępy o karze śmierci, a zwłaszcza o Postępie („Moje serce obnażone", dzienniki poufne, przekład polski wyd. Ignis) nie są jakby żywcem wyjęte z pism Wrońskiego?

— Podług autora, p. Zenon Przesmycki jest „son (tj. Wrońskiego) biographe le plus averti". Obyż! Ale narazie trzeba niestety uzupełnić: biographe in spe.

— Książkę prof. Ujejskiego o Wrońskim nazywa p. Zaleski surową i poważną. Mój Boże, że też prof. Ujejski, autor tylu prac naprawdę wartościowych, musiał doczekać się w **Mercure de France** uznania właśnie za tę książkę!*) Ano, trudno.

Autor powiada, że Wr., mimo swą głęboką odrazę do mistycyzmu, sam był... mistykiem rozumu! Zważywszy, że tem jedynem, co cechuje mistycyzm, jest staranie o pozarozumowe uchwycenie prawdy, uznamy, że to już nie prosta contradictio in adjecto, ale oxymoron.

Skoro się mówi o nic nie znaczących artykułach Gaweckiego, Maleszewskiego, to szkoda, że się nie wspomniało o książce Cherfilsa, jedynej bodaj, dającej ogólny zarys doktryny Wr. i przetłumaczonej na język polski, o pracach Zieleńczyka, artykułach Tatarkiewicza, Wąsika i in.

Usterki tedy są, i to nie błahe; ale zalety przeważają. Wolno mieć nadzieję, że szan. autor, raz się zająwszy tym niezmiernie pociągającym tematem, nie ustanie w dalszych studjach, jeszcze bardziej umiłuje wspaniałego naszego mędrca, i być może obdarzy Francję obszerniejszą monografją, któraby była nader pożądanym pendant do mającej się wkrótce ukazać wielotomowej francuskiej reedycji dzieł Wrońskiego.

K.

---

*) Autor mówi np. o „upodobaniu Wrońskiego do siódemki", jakby o jakiemś widzimisię. Nie dowodzi to znajomości Prawa Tworzenia, tej alfy i omegi filozofji Wrońskiego. Elementów jest zawsze 7, ponieważ wyczerpuje to wszystkie możliwe kombinacje z dwóch składników heterogenicznych i ich neutralizacji; natomiast klas systematycznych jest zawsze 4, narzędzi technicznych 2, zasad ustanowczych 3, itd. Gdzież tu jakaś specjalna predylekcja?

*) Ob. recenzje z tej pracy we „Wiadomościach Literackich" nr. 43, 1925, oraz sprawozdanie A. Zieleńczyka w „Przeglądzie Filozoficznym" 1926 i w „Przeglądzie Humanistycznym".

Wystawa w I. P. S.

Obecna wystawa w I. P. S. obejmuje pośmiertną Konrada Krzyżanowskiego, zbiorowe Rafała Malczewskiego i Tadeusza Kulisiewicza, oraz wystawy bieżące Stowarzyszeń Dziesięciu z Krakowa, Loży wolnomalarskiej i Rytu.

Materjał zaiste olbrzymi i bardzo poważny jakościowo. Wystawę pośmiertną **Konrada Krzyżanowskiego** zorganizowano z powodu dziesięcioletniej rocznicy jego śmierci. Przedwcześnie, bo zaledwie w pięćdziesiątym roku życia zmarły artysta należał do największych polskich talentów przedostatniej doby. Pochodził z Ukrainy, studja odbywał częściowo w Rosji, a następnie w Monachjum. Maximum swoich zainteresowań poświęcał portretowi i był w tym zakresie bezkonkurencyjnym mistrzem. Prace jego cechuje wysokie napięcie emocjonalne, bezpośredniość i olbrzymia siła wyrazu. Wśród dość wczesnych jego dzieł można odnaleźć wpływy Monachjum (w kolorze). Zaznaczyć należy, że K. Krzyżanowski jest wyjątkowym artystą, w którego dziełach okres secesji przewija się tylko jako piętno epoki, bez szkody dla smaku jego dzieł. (Portret art. dram. Petersburg 1898, portret p. Dagny Przybyszewskiej 1904, portret p. Niewiadomskiej 1913). Studja plenerowe, niektóre wnętrza i pejzaże zdradzają specjalnie silną wrażliwość na światło. („Studjum portretowe". „Wnętrze w Peremylu"). Kilka bardzo pięknych rysunków ołówkowych (zwłaszcza portret narzeczonej) zamyka tę niezmiernie starannie skompletowaną wystawę.

Tadeusz Kulisiewicz, znany dotychczas przeważnie jako grafik, wystawił tym razem obfity zbiór gwaszów, akwarel, rysunków ołówkowych i podkolorowanych. Całość niezmiernie ciekawa i bardzo dla indywidualności artysty charakterystyczna. Kulisiewicza cechuje wybitnie uczuciowe ustosunkowanie się do pracy. Przeważają w olbrzymiej większości głowy i figury. Kolor, smacznie, nawet wytwornie zestawiany, zajmuje w tych obrazach drugie, lub nawet dość dalekie miejsce. Pierwszeństwo oddaje Kulisiewicz całkowicie rysunkowi, operuje nim umiejętnie i dojrzale, stale deformując bardzo szlachetnie, niemniej jednak może zbyt jednostajnie. Z gwaszów dobre są „Dziewczyna z kwiatkiem", „Chłopiec siedzący" i „Franuś". Z rysunków głowa dziewczyny na ręku opartej (nr. 151), głowa kobiety (144) i góral siedzący (148). Przykuwają uwagę rysunki z rzeźb romańskich i gotyckich. Rzeczy te same w sobie prymitywnie bądź świadomie upraszczane, w indywidualnej interpretacji artysty posiadają niewątpliwie dużo wdzięku. Pejzaże interesują dość rozległą skalą nastrojów.

Rafał Malczewski należy do najciekawszych naszych malarzy współczesnych, przedewszystkiem przez swój nawskroś osobisty stosunek do tematu. Maluje tylko pejzaż i przeważnie olejno. Niema dla niego tematów obojętnych, każdy niemal jest wart tego, żeby go zrozumieć, przeżyć, odczuć i potem najindywidualniej z wewnątrz, od siebie na nowo stworzyć. Trudno właściwie wiele więcej poza tem o malarstwie Malczewskiego powiedzieć. Kolor niezaprzeczenie bardzo interesujący, faktura, kompozycja to wszystko środki, które mu służą do wypowiedzenia tego właśnie zupełnie osobistego przeżycia natury. Droga, po której kroczy R. Malczewski, ma przed sobą olbrzymie możliwości. Bardzo pięknemi obrazami są: „Pierwszy śnieg", „Mistral"; „Droga nad morzem" i w ślicznej i trudnej gamie zieleni utrzymana „Dolina".

O wiele słabiej przedstawiają się wystawy zbiorowe Stowarzyszeń. Grupa Dziesięciu z Krakowa to zupełnie przypadkowy związek kilku ludzi o krańcowo różnych zainteresowaniach plastycznych i o bardzo nierównym poziomie. Najmocniejszy w tej grupie jest **Zbigniew Pronaszko**. Jest to par excelence programowy malarz, interesuje go głównie kolor i faktura, forma o tyle, o ile da się wydobyć samym kolorem. Prace jego wykazują w tym zakresie bardzo gruntowne i bezkompromisowe poszukiwania, uwieńczone poważnemi rezultatami. Zwracają uwagę obrazy: „Pani w żółtem" i „Akt". Słabiej reprezentowany jest artysta już ustalonej u nas marki **Henryk Gotlieb**. Jego obraz p. t. „Rodzina", mimo ciekawych jak zwykle zestawień kolorystycznych, posiada wiele niedociągnięć formalnych, zwłaszcza w postaci kobiecej (oprócz oczywiście głowy namalowanej z silnem poczuciem charakteru). **Samlicki** znany dotychczas z prac o charakterze dość eksperymentalnym, skłania się w obecnej fazie swej twórczości wyraźnie w stronę naturalizmu, osiągając równocześnie przez zmianę faktury większą miękkość formy. Całość robi wrażenie nieprzyjemnie kompromisowe, bez względu na pobudki, które artystę skierowały na tę drogę. Miejmy nadzieję, że jest to w tej chwili okres przejściowy w jego pracy. **Alfons Karpiński** zdeklarowany postimpresjonista operuje stłumioną spokojną gamą koloru, bardzo szlachetną i subtelną. Szczególnie uderzająca jest przebogata skala szarości. W kompozycji i wyborze tematu jest dużo konwenansu i nudy. Vlastimil **Hofman** dał obrazy o sentymentalnie literackich tematach, nie przemawiające prócz tego żadnymi poważnymi atutam malarskimi. Obraz **Grotta** p. t. „Odpoczynek" (akt) przeładowany pretensjonalnie całą rekwizytornią dywanów i martwych natur sprawia wrażenie bardzo akademickiego elaboratu nieprzeciążonego zbytnio zagadnieniami plastycznemi. Obraz ten jest rozpaczliwy w kolorze. Można oczywiście zestawiać kolor równie dobrze w kontrastach, jak i w harmonji, można harmonję urozmaicać dysonansem i naodwrót dysonans uspokoić harmonją — są tysiące możliwości w zakresie koloru i można się zająć każdą jako że kolor jest najistotniejszą częścią malarstwa — ale każde z tych stanowisk musi być poparte albo bardzo przekonywującymi rezultatami, albo zupełnie widoczną logiką poszukiwań w kolorystycznej budowie obrazu. W obrazach p. Grotta nie znać tych wysiłków. Oprócz wyżej wymienionych wystawiają K. Chmurski, Geppert (dwie kompozycje słabe, o wiele lepsze pejzaże), Machalski, Rzepiński i Popławski (rzeźby).

Wystawa zbiorowa Rytu (grafika) daje materjał stosunkowo mniej bogaty niż zazwyczaj. Drzeworyt przeważa w olbrzymiej większości. Prace **Krasnodębskiej - Gardowskiej** przy szlachetnej technice interesują bogatą i precyzyjnie obmyślaną kompozycją (pejzaż z wozem, Gorce). St. **Ostoja Chrostowski** dał drzeworyty o dokładnem i czystem aż do kaligraficzności cięciu. „Podwórze" i „Kapliczka" posiadają bardzo wiele nastroju Z exlibrisow interesujący jest „K. Jodzewicza" i inicjał „S". U **Bartłomiejczyka** znajdujemy kilka pięknych prac (drzeworyt barw.), w których znać zainteresowanie japońszczyzną. U **Podoskiego** wyróżnia się „fragment wielkomiejski". U Duninówny znać szczere wysiłki w kierunku zmiany, zarówno w kompozycji, jak i w technice. dążność do uproszczeń w formie i większe skupienie uwagi na wyrazie. Rezultaty obecne nie stoją jeszcze na wysokości zadania. Należy jednak wziąć pod uwagę, że moment, który artystka w tej chwili przechodzi, jest bardzo trudny. Miejmy nadzieję, że w następnych pracach p. Duninówna otrzyma na tej drodze ciekawe wyniki. **Władysław Skoczylas** dał kilka prac o wysokich, jak zawsze, zaletach techniki i kompozycji. **Tadeusz Cieślewski** (syn) jest w obecnych swych rzeczach dosłownie przygnieciony tematami psychologicznemi. Cieślewski jest właściwie bardzo rzetelnym i kulturalnym grafikiem w zasadniczem formalnem tego słowa znaczeniu i może dlatego właśnie tak bardzo rażą u niego te tematy, sprawiając, mimo wszelkich wysiłków autora, wrażenie niepotrzebnie doczepionych do zasadniczego sensu dzieła. Formaty duże („Kopernik" i „Polonia rediviva") rozlatują się kompozycyjnie. Na wystawie znajdują się jeszcze prace L. Gardowskiego, W. Goryńskiej, J. Konarskiej, S. Mrożewskiego, Perkowskiego, Srzednickiego (litografje barwne) i Wąsowicza (suchoryty).

Wystawa Stowarzyszenia **„Loża wolnomalarska"** jest pierwszą wystawą nowej grupy powstałej wśród uczniów prof. Pruszkowskiego. Zaznaczyć wypada, że w ciągu ostatnich czterech lat już trzecia grupa malarzy wychodzi z tej niezmiernie żywotnej pracowni. Pewna powierzchowność i brak myślowego ustosunkowania się w przyjmowaniu wpływów z zachodu, narzuca się jako pierwsze ogólne wrażenie z całokształtu wystawy. Całość butna, młoda i kolorowa, mimo dużych niedociągnięć i powyżej zaznaczonej powierzchowności, obfituje w przejawy szczerych talentów.

Najdojrzalej przedstawiają się prace Nadelmanówny i J. Pietkiewiczowej. Nadelmanówna wykazuje w pracach swych przy dużej wiedzy fachowej, pewną skończoność, dość niebezpieczną u tak młodej malarki. W pracach jej widzimy świadome i umiejętne deformowanie dobrze opanowanego rysunku, przy równoczesnej zbyt tamej efektowności w kolorze. Pietkiewiczowa jest indywidualna w trzech temperach, (dwa pejzaże i studjum portretowe), w pracach tych widać poważną znajomość techniki temperowej, własny wyraz i szczere poszukiwania kompozycyjne. Dwie kompozycje są dużo mniej bezpośrednie i jako takie naogół słabsze od wyżej wymienionych prac artystki.

Najwięcej możliwości rozwoju widzimy w pracach Zielenkiewicza (bardzo dobre rysunki) i Szymańskiego (zasługuje na uwagę duży smak w zestawianiu kolorów i bardzo indywidualna wizja w kompozycji.

Zasługują na uwagę: interesujący, choć efekciarski w kolorze i rysunku Feliks Topolski i bardzo sumienna w podejściu do pracy J. Knothówna. Bardzo powierzchowną jest F. Weinlejs. Gniazdowskiego duże płótno nie frapuje kolorem ani fakturą a w kompozycji nie idzie po linji malarstwa sztalugowego, do którego właściwie z natury rzeczy należy.

Oprócz wyżej wymienionych są na poziomie Kaniewski, yw, Herman, Kndła. Najsłabsze są prace Henneberżanki.

Osobne miejsce należy się Linkemu. Prace jego, z punktu widzenia plastyki są poważnem nieporozumieniem. To co jest w nich interesującego nie należy do malarstwa. Artystę interesują tematy społeczne i polityczne, rzeczy bardzo rozbieżne z istotnemi zagadnieniami plastyki. Niezależnie od tych zarzutów obrazy Linkego wykazują zdecydowaną indywidualność.

Grupę jako całość cechują tendencje ekspresjonistyczne. Dotychczasowy jej dorobek mimo wszystkich przytoczonych wyżej zarzutów, zasługuje w zupełności na to, by się z nim zapoznać.

L. M. Leliwa

Plastyka i scena

Brak jakiegoś ogólnego postępu na niwie teatrów polskich, a co gorsza pewnych skrystalizowanych dezyderatów w stosunku do teatru ze strony naszej „elity" intelektualnej interesującej się sztuką, wynika z braku ściślejszego określenia, ustalenia i odpowiedniego naświetlenia pojęć teatralnych. Zdanie sobie jasne sprawy z tego, co tworzy formy teatralne i co jest ich przyczyną, jakie są zasadnicze ich składniki, może dopiero wpłynąć na ogólny postęp naszego teatru.

Jednym z takich podstawowych czynników w teatrze jest t. zw. dekoracja teatralna, której rola w dzisiejszym tego słowa zrozumieniu zaczyna się dopiero na przełomie XIX i XX wieku, od daty wystąpienia Wyspiańskiego i G. Craiga. Dekoracja teatralna (albo lepiej plastyka sceniczna), obejmuje zakres daleko większy i daleko większą ma zawartość treściową, niż to co wyobraża sobie przeciętny inteligent. Elementem dekoracji scenicznej jest przedewszystkiem ciało człowieka, a każdy najdrobniejszy ruch jego, to nowa forma dekoracyjna. Forma dekoracyjna, której zadaniem jest na równi z żywem słowem wydobyć najistotniejsze składniki zawarte w danem dziele, uczynić je jaknajzrozumialszemi i najsugestywniejszemi dla widza współczesnego. Jak reżyser tak i dekorator artystycznie analizuje i zgłębia dzieło wydobywając z niego elementy dla form scenicznych.

Najwytrwalszym na niwie polskiej bojownikiem o równouprawnienie, że tak powiem, elementu plastycznego w teatrze jest profesor Wincenty Drabik. Niniejsze uwagi są w znacznej mierze odbiciem jego wywodów, których miałem sposobność być słuchaczem. Uwagi te mają być wstępem do całej serji artykułów poruszających to tak istotne zagadnienie.

Współpraca reżysera-inscenizatora z dekoratorem powinna się rozpocząć już w początkowem stadjum zapoznawania się z inscenizowanem dziełem. Dekorator powinien znać dzieło tak samo, jak reżyser, powinien je tak samo przeżyć i przemyśleć, a nie jak dziś, gdy nieraz ma zaznajomić się tylko z samym opisem dekoracyj, podanym na wstępie poszczególnych scen przez autora. Inscenizacja powinna być wynikiem syntezy współpracy reżysera z dekoratorem, wyniki osiągnięte na dwóch odrębnych płaszczyznach myślenia mogą dać dopiero właściwą pełnię sceniczną odpowiadającą istocie dzieła. Element plastyczny nieraz był i powinien coraz częściej być tym wskaźnikiem najodpowiedniejszej realizacji scenicznej.

Władysław Dobrowolski.

Przegląd prasy

Freblówka pisarzy

W jednym z kwietniowych numerów „Ill. Kurjera Codziennego" ukazał się znakomity artykuł pióra Karola W. Zawodzińskiego p. t. „Kultura" a kultura literacka", zawierający surową lecz zasłużoną krytykę projektu Parandowskiego „szkoły sztuki pisarzy" (drukowanego w tygodniku „Kultura"). P. Zawodziński analizuje najpierw ogólną koncepcję takiej szkoły, której punkt wyjścia „zawiera w sobie ziarno elementarnej słuszności". Bo „brak kultury u pisarzy — oczywiście literackiej, — a poprostu mówiąc brak kultury ogólnej, jest grzechem pierworodnym, uniemożliwiającym zrównanie się w wynikach z poziomem europejskim. Co tu w bawełnę obwijać: **analfabetyzm!**"

Ale już pobieżna analiza programu nauczania projektowanej przez Parandowskiego szkoły, — odsłania nam całą utopijność i absurdalność tej koncepcji. Gros tego, co wymieniono w tym programie, wchodzi w zakres już istniejących zakładów wychowawczych. „Mamy gimnazja, a jeśli te nie spełniają swych zadań, trzeba je reformować, a nie **dublować**".

Dalej demaskuje p. Zawodziński naiwność pojmowania t. zw. rzemiosła pisarskiego, którego nauczyć naprawdę nie potrafi adepta nikt, a już najmniej ci wielcy twórcy i artyści, których p. Parandowski chciałby widzieć na katedrach swej szkoły. „Chyba nie przyjdzie mi pouczać p. Parandowskiego o dziejach bezpłodnych wysiłków stworzenia reguł dla poetów (w szerokiem znaczeniu literatów — twórców)... naprawdę twórcze indywidualności nigdy nie mieszczą się w takich ramach i z kolei nie mogą stworzyć laboratorjum, skądby wychodziły masowo genjalne, a tworzone podług odkrytych przez nie recept, dzieła". Fałszywą jest analogja ze sztukami plastycznemi. W plastyce technika, rzemiosło — ze względu na konkretne, namacalne niejako tworzywo dzieła sztuki — gra wielką rolę. „Tymczasem dla twórczości literackiej właściwie jedyna sztuka jest niezbędnie potrzebna: **sztuka pisania** w najdosłowniejszem znaczeniu, ta, którą się zdobywa w szkółce elementarnej".

Echa stulecia śmierci Goethego

Gazeta Warszawska robiąc bilans stuletniej rocznicy zgonu Goethego wylicza z dorywczo zebranych materjałów szereg poważnych rozpraw, z pośród których na pierwsze miejsce wybija się znakomita praca księdza **Konstantego Michalskiego**, drukowana na łamach **„Czasu"**.

Już na wstępie przez wskazanie uczucia metafizycznego, (będącego niczem innem jak odwieczną żądzą poznania nierozwiązanej Tajemnicy Istnienia), jako źródła Sztuki, wprowadza nas w sferę najistotniejszych zagadnień, dając równocześnie gwarancję, że praca jego daleką będzie od rozważania tak zwanej wpływologji, i psychologicznego stanowiska w stosunku do uczuć metafizycznych. Powaga zagadnień poruszanych przez ks. Michalskiego wymagająca obszernego studjum,—rozsadza szczupłe ramy niniejszej notatki. Szczególnie ciekawą jest analogja o której mówi ks. Michalski w trzeciej części „Glossy Wielkanocnej": „Prolog (Fausta) przypomina niezrównaną scenę Genezy, kiedy Pan Bóg o stworzonym przez siebie świecie, powiada, że jest dobry bardzo dobry; archaniołowie podejmują w Fauście słowa Boże, ale tylko na to żeby wywołać protest Mefista, który wnosi skargę, że na ziemi z człowiekiem jest źle i bardzo źle. Następuje scena w której odzywają się echa gigantycznego obrazu księgi Hjoba..."

I tu nasuwa się pytanie: Czy wyżej wymieniona analogja jest wynikiem tak zw. wpływologji, czy też dla uzasadnienia ciekawego związku należałoby sięgnąć głębiej: wejść w zakres estetyki transcendentalnej, to zn. zbadać czy twórca w szczytowym momencie napięcia twórczego nie zbliża się do prawd najwyższych poprzez poetycką wizję.

Gdyby tak było, to analogje i związki zachodzące między dziełami najwybitniejszych twórców znalazłyby uzasadnienie głębsze i pewniejsze od tego, jakie może dać psychologiczne stanowisko w stosunku do uczuć metafizycznych. (Wiele materjału formalnego znaleźć można w znakomitej pracy prof. Zielińskiego o tak zwanej twórczości manijnej Lukrecjusz - Mahomet - Mickiewicz — wygłoszonej przez radjo w lecie roku ubiegłego).

„Prasa Polska" w specyficzny sposób uczciła stulecie zgonu Goethego, drukując kilka artykułów, z pośród których wybija się „Goethe z czekolady", (opis gastronomicznego muzeum) i pedantycznie sporządzony chronologiczny wykaz kochanek Goethego.

Atak na Ateneum

W ostatnim (8) numerze „Żagarów" ukazał się artykuł Tadeusza Byrskiego poddający krytyce działalność teatru Ateneum.

Nawet najostrzejsza krytyka nie może budzić zastrzeżeń, jeśli operuje określonym systemem kryterjów estetycznych, jeśli zarzuty swoje opiera na pewniejszym gruncie niż dowcipy i trywialne dygresje, któremi w braku solidnych argumentów hojnie szafuje p. Byrski. Już na wstępie przykro uderza ton nonszalancji i protekcjonalnego traktowania najpoważniejszych poczynań (jest to zresztą choroba która trawi „Żagary", zrażając do nich najzagorzalszych nawet sympatyków).

Zdawałoby się że krytyk, który chce być poważnym (a chyba za takiego chciałby się p. Byrski uważać) nie będzie na zasadzie kilku widzianych sztuk (p. Byrski sam przyznaje się, że widział tylko niektóre) wydawał kategorycznych opinij o najpoważniejszej w Polsce placówce teatralnej jaką niewątpliwie jest dziś Ateneum. Niestety dalsze enuncjacje rozwiewają najśmielsze przypuszczenia: „Ateneum choruje na brak inscenizatora, jeśli się z tej choroby nie wyliże, może, mówiąc między nami, odwalić kitę".

Wystarczy. To nas zwalnia od polemiki z p. Byrskim. Na marginesie pozwolimy sobie zaznaczyć że życzeniu p. Byrskiego stało się zadość. Notatka jego „doszła do rąk członków zespołu Ateneum" wywołując tam... szczerą wesołość.

„Bestja apokaliptyczna"

W nrze „Wiadomości Lit." z dn. 17 kwietnia p. Tuwim, upojony zbliżającą się wiosną, wydrukował wiersz p. t. „Eksperyment", w którym jak anatom preparuje wiosnę, przypodobaną przezeń żabce zielonej („Jak żabkę zieloną, Przecinam wzdłuż, Otwieram wszerz".) W tym samym dn. 17 kwietnia w siostrzanej „Kulturze" zamieszcza p. Stefan Kawyn artykulik p. t. „Głowy apokaliptyczne".

Dwa te fakty skojarzyły się w mym umyśle nie dlatego bym śmiał porównywać p. Kawyna do żabki, która nadstawia nogę tam gdzie konia kują — ale dlatego, że ów twór jego intelektu aż prosi się o podobny „eksperyment", jak ten z wiosną—żabką zieloną.

...„żabko zielona!..
Leżysz rozpięta na tym papierze,
Piórem z wysoka w sedno twe mierzę.
Zaraz uderzę".

Artykulik p. Kawyna spreparowany anatomicznie, wywrócony do góry podszewką, czyli apokaliptycznie zanalizowany (od „Apocalypsis" = odsłonięcie), budzi zainteresowanie dlatego, że można sens jego i strukturę wewnętrzną interpretować dwojako. Mianowicie „przecięty wzdłuż" wygląda on na pozerską dziecinadę, pełną sprzeczności i zadziwiającą pomieszaniem podstawowych pojęć; natomiast „otwarty wszerz" prezentuje nam chytrego mądrale, wygę nielada, który umyślił sobie wziąć na kawał zarówno nas, jak Bogu ducha winnych czytelników „Kultury".

Djagnoza jest tu dość trudna. Prosimy zatem p. Kawyna, niech się sam przyzna: jak to było naprawdę z tym artykułem.

Narazie przyjmijmy (hipotetycznie) pierwszą ewentualność... i nuże, do lanceta!

P. Kawyn jest bardzo zmartwiony, że w tak „intelektualistycznej" epoce, jak współczesność, nawraca się znów ku problemowi t. zw. celów ostatecznych. Nie wie on widocznie, że intelekt jest jedną z funkcyj i władz **rozumu**, a rozum jest właśnie tą niepoprawną istotą, która nie chce „poprzestać na małem" i szuka wieczyście samego sensu i celu istnienia; że rozum przestałby przeto być rozumem, gdyby zapomniał o swoich najwyższych postulatach, któremi są właśnie te „cele ostateczne". Laicyzm materjalistyczny wie dobrze o tem i jako przyrodzony **wróg rozumu**, chce w nim zabić tę dążność, aby zrobić z człowieka ssaka niższego rzędu, maszynowego „robota", pół-zwierzę.

Że p. Kawyn sam kojarzy „cele ostateczne" z rozumem, świadczy to, że szukanie ich pozostawia on „filozofom, oddającym się wczasom i zabawom mędrców". Od czasu Kanta wszelka prawdziwa filozofja nie jest niczem innem, jak analizą krytyczną samych elementów, zasad i funkcyj czystego rozumu. Pogarda p. Kawyna dla filozofów („nielicznych już chyba dzisiaj" — jak się on sam pociesza) dowodzi jego nieufności i odrazy do wszystkich i wszystkiego, co ma coś wspólnego z rozumem.

Jak jednak pogodzić z tem pragnienie p. Kawyna, by w epoce współczesnej porządkowanie praw i zjawisk odbywało się „według praw rozumu"? Czyż nie wie on, że „prawa rozumu", to są właśnie zasady i cele podstawowe, wokoło których grupują się wszystkie pochodne funkcje umysłowe? I czyż nie widzi on, że świat dzisiejszy dlatego popadł w kołowaciznę i chaos, że porządkowanie jego odbywa się — niestety — wbrew prawom rozumu?

Gdybyśmy chcieli brnąć dalej w sprzeczności i bałagan pojęciowy artykuliku p. Kawyna, człowiek ten stałby się dla nas jakimś sfinksem, zagadką „intelektualistyczną" istotą nieodgadłą. Ale sprawa ta tłumaczy się znacznie prościej; p. Kawyn ma całkiem swoisty pogląd na istotę rozumu, a mianowicie utożsamia go z poznaniem empirycznem, zawierającem się całkowicie w granicach biernej, receptywnej pojemności naszych zmysłów. Ten prymitywny materjalizm tłómaczy nam, dlaczego nawołuje on nas, — chcących iść naprzód — do nawrotu wstecz ku ideałom poznawczym Bacona, zaledwie wystarczającym dziś dla nauk fizycznych, ku zdziczeniu umysłowemu Oświecenia francuskiego, z jego koszmarem w postaci największych szkodników ludzkości encyklopedystów, a wreszcie ku niedawnemu pozytywizmowi, którego obrządek celebrował niegdyś uroczysty arcykapłan August Comte, w oparach ciasnoty materjalistycznej i obezwładniającego mózgi anti-filozofizmu.

Tu źródło tych sprzeczności, z których kilka przytoczę:

1. P. Kawyn chwali współczesne racjonalistyczne ujmowanie rzeczywistości, przeciwstawiając mu ze smutkiem nasz nawrót „do spekulacyj filozoficznych Cieszkowskiego, Trentowskiego, Hoene-Wrońskiego", jakby nie wiedział, że system Wrońskiego jest racjonalizmem pur sang i głosi prymat czystego rozumu (pierwszy stosuje definicje matematyczne do problemów metafizycznych). Zarazem nazywa p. Kawyn ten nawrót „powrotną falą mistyki", znowuż zdając się nie wiedzieć, że Wroński tępił mistykę, zwąc ją „paraliżem rozumu" („poza rozumem może być tylko nierozum").

2. P. Kawyn chce by rządziły nami „nakazy rozumu", a drwi z „panoszenia się aprioryzmu i spekulacji metafizycznej" — jakby nie wiedział znowuż, że właśnie metafizyka jest wiedzą o istocie i funkcjach czystego rozumu i że rozum obraca się tylko w granicach pojęć a priori (wszystko inne nie jest już rozumem, lecz przyrodą. przedmiotem badań rozumu).

P. Kawyn zarzuca nam (bo wszystko to — mimo pozorów — wymierzone jest przeciwko ludziom z „Zetu") „dogmat" — czem zdradza się, że nie wie wogóle, co to jest dogmatyzm. Bo gdyby wiedział, nie stawiałby tego zarzutu nam, którzy wciąż powołujemy się na Kanta i Wrońskiego. Przecież Kant właśnie obalił dogmatyzm, tworząc krytycyzm filozoficzny, czyli metodę djametralnie przeciwną; zaś Wroński był jeszcze większym pogromcą dogmatyzmu, odrzucając jako niepewne, wszystko, co nie jest ostatecznie stwierdzone i zdefinjowane przez czysty rozum.

P. Kawyn gaworzy też o „nieruchawym masywie intelektualnym" z którego my jakoby nie możemy się wyzwolić. Ależ to właśnie pozytywizm i materjalizm (czyli prymitywne filozofowanie bez sprawdzianów czystego rozumu), są nieruchawym masywem intelektualnym, który trzeba rozbić, jak zmurszały czerep w imię rozumu, czyli samorzutnej, twórczej wiedzy.

Proszę kochanego pana, gdzież pan u nas znalazł pogardę dla wyników działalności nauk? Nam idzie tylko o proporcję, o właściwą klasyfikację ważności danej dyscypliny naukowej — w porównaniu z innemi. Ludzie o embrjonalnym systemie myślenia upajają się samem słowem „nauka", nie mając ani trzeźwego sądu o samej istocie wiedzy ani kryterjów do ich wartościowania na porównawczej tabeli czystego rozumu. Przypomnijmy jedno z tych kryterjów: jest niem **pewność**, która stanowi formę wiedzy. Od stopnia pewności — zależy wartość i ważność danej dyscypliny dla poznania. W naukach przyrodniczych pewność jest zawsze przypadkowa, w matematyce i logice asertoryczna zaś w filozofji (krytycznej, czyli transcendentalnej) pewność jest już apodyktyczna. Prosty stąd wniosek, że rozum, dla którego te różne gałęzie i sposoby wiedzy, są terenem jego działalności, za naczelną dyscyplinę uważać będzie filozofję, za pośrednie matematykę i logikę, zaś za najniższe — nauki doświadczalne. W prawdziwej wiedzy nie ma jednakowoż mowy o jakiejś pogardzie dla którejś z tych dziedzin: idzie tu o rozumną i objektywną segregację — o nic więcej.

P. Kawyn przeciwstawia „religianctwu i fanatyzmowi idealistycznemu" — oświecenie i postęp, a przecież: 1) właśnie Oświecenie przyniosło światu fanatyzm i utopję społeczną, w rodzaju naiwnych nienaukowych opowieści Jean Jaque'a, lub mistycznych elukubracyj St. Simona, Fouriera i t. p.; 2) samo pojęcie postępu mieści w sobie postulat celów ostatecznych, ku jakim ludzkość zdąża (postęp ku **czemuś** i w imię **czegoś**).

A ten Jan Śniadecki, zakuty łeb materjalistyczny, na którego powołuje się Kawyn! „Genjalny?" Pomyłka w adresie. To nie on — lecz jego brat Jędrzej (i to właśnie zdeklarowany kantysta).

Oto w pobieżnym skrócie — Kawyn spreparowany à la prymityw umysłowy. A teraz ewentualność druga: Kawyn — chytry wąż, sługa antychrystowy, bestja apokaliptyczna. (Co kto woli!)

Z tego punktu widzenia prezentuje on się, jako przebiegły hipokryta, który kąsa półsłówkami, niedomowieniami i zdradliwie zachodzi od tyłu, aby wbić nóż w plecy. Udaje niewiniątko, że to niby ubolewa nad współczesnością polską, obraca się w ogólnikach — a właściwie wszystko to bije w „Zet" i tylko w „Zet", w nikogo więcej. Jak chytrze skojarzył nas w jednym ustępie z Akcją Katolicką i broszurą ks. Trzeciaka (dobrze, że nie z ks. Pirożyńskim).

Ale jest jeszcze większa i brzydsza zasadzka w tym artykule (o ile jest to człowiek inteligentny i wie co robi). Mianowicie Kawyn występuje rzekomo w obronie rozumu — a atakuje, podkopuje, właśnie rozum, właśnie kantowską metodę krytyczną, właśnie metafizykę, wiedzę o czystym rozumie. W ten sposób podburza on nieświadomego czytelnika przeciw prawdziwej, istotnej wiedzy, sieje kąkol ciemnoty i fanatycznej nienawiści przeciw metafizyce, tak wyraźnie, że nasuwa się myśl, czy w wyobraźni jego nie wyrastają już w Polsce ponure, inkwizycyjne stosy—na których smaży się filozofów („nielicznych już chyba dzisiaj") i pali książki Kantów, Schellingów, Wrońskich, tych prawdziwych oświecicieli ludzkości i to w imię t. zw. Oświecenia.

Taki jest p. Kawyn spreparowany à la syndykalista, bolszewik. Z poza czcigodnej figury Sfinksa, wynurza się w ten sposób Janusowe oblicze nietylko pogromcy „głów apokaliptycznych" i całej współczesnej, zlaicyzowanej kultury, której przypadkowym, wielkim symbolem—stał się maleńki Kawyn, może nawet wbrew swojej woli.

P. S. Prócz p. Kawyna zaatakowało nas jeszcze dwu ludzi: p. Słonimski (w „Wiadomościach lit.") i p. Irzykowski (w „Robotniku").

P. Słonimskiemu nie odpowiadamy dlatego, bo w jego słowach o „Zecie" niema ani sensu ani dowcipu. Nie mamy zamiaru wdawać się w te błazeństwa. Chwała Bogu, w zakończeniu „kroniki tygodniowej" znać skruchę. Może to będzie pierwszym krokiem do poprawy.

P. Irzykowskiemu nie odpowiadamy, bo wyszedł z formy intelektualnej i towarzyskiej. Te „wychodki" i „kopniaki", to nie w jego stylu; sądzę, że innym razem powie sam coś bardziej istotnego... Dla ścisłości zaznaczam, że jestem wrogiem ideowym faszyzmu, wątpię jednak, czy pan to kiedyś zrozumie.

P. Zadereckiemu odpowiem na jego replikę w „Kurjerze Lwowskim" w następnym numerze.

J. Braun.

Cui bono?

Redaktor „Wiadomości Lit". uważał za stosowne zamieścić ogromny dziesięcioszpaltowy fragment z książki p. **Malaparte** p. t. **„Technika zamachu stanu"**, mający posmak zręcznego paszkwilu. Nie dziwi nas, że zrobiły to „Wiadomości", nie rozumiemy tylko dlaczego patronuje temu p. Wincenty Rzymowski, który te wątpliwej wartości elukubracje aranżuje, pod dziwnym pretekstem otworzenia nam oczu na stosunek faszyzmu do Polski.

Fragment powyższy pełen jest bardzo efektownych obrazków, ale świadczy o ciasnych horyzontach i prymitywnym stosunku autora do historjozoficznych problemów. Odnosi się wrażenie, że p. Malaparte wogóle nie rozumie istotnej treści dokonywujących się na jego oczach przemian dziejowych

Warto zacytować tu parę zdań:

O żołnierzach bolszewickich: „Moje długoletnie doświadczenie wojenne... nie pozwalało mi zrozumieć, jak Polacy mogli się cofać przed takimi żołnierzami". A o Polsce wogóle: „Ale w Polsce nikt nie zwraca uwagi na własne doświadczenia, tem bardziej na cudze". O Piłsudskim: „Ten dyktator, zarazem brutalny i mieszczański... ten socjalistyczny generał, rewolucyjny do pasa, a reakcyjny powyżej... który groził co tydzień zamachem stanu i pragnął zarazem by go uświęciła mająca się dopiero narodzić konstytuanta" (ten dziwny Malaparte niewiele, jak widać, zrozumiał z oczywistej dla ślepego nawet taktyki Piłsudskiego). P. Malaparte dziwi się też dlaczego w r. 1920-tym żydzi z Nalewek nie opanowali Warszawy; „tysiąc ludzi wystarczyłoby, aby bez trudu opanować miasto". O Trąpczyńskim: „Jak wszyscy ludzie otyli, Trąpczyński nie czuł się dostatecznie bronionym (dowcipne, co?!) O cudzie nad Wisłą". „W chwili kiedy wydawało się, że wszystko jest stracone... wieść o pierwszych zwycięstwach gen. Weygand rozeszła się lotem błyskawicy".

Genjusz historjozoficzny p. Malaparte przejawia się nietylko w jego charakterystyce Polski powojennej; równie bezwartościową i powierzchowną jest gadanina jego o Bonapartem i jego systemie politycznym.

Nie idzie tu o rozdzieranie szat z powodu nieprzyzwoitych opinij jakiegoś tam Malaparty o Polsce, o Piłsudskim, o ministrach i o żołnierzach polskich. U nas w kraju operuje się w walce partyjnej o wiele dosadniejszemi wyrazami. Ale **cui bono**, zapytujemy, drukują „Wiadomości Literackie" te poronione wyczyny historjozoficzno-literackie na swoich drogocennych łamach?

Z ruchu słowiańskiego

Dnia 19 kwietnia w gmachu Gimnazjum im. Mickiewicza w Warszawie odbyła się uroczystość otwarcia Kursów języków słowiańskich, zorganizowanych przez Stowarzyszenie Młodych Słowian, przy poparciu Kuratorjum Warszawskiego.

Wobec przedstawicieli sfer oficjalnych i licznie zebranej publiczności dokonał otwarcia Prezes Stowarzyszenia, poczem kilku mówców podkreśliło oddawna odczuwaną potrzebę zorganizowania takich kursów oraz znaczenie ich dla zbliżenia wzajemnego Słowian.

Kursy te mają charakter początkowy i obejmują chwilowo naukę dwu języków: serbo-chorwackiego i czeskiego; w miarę rozwoju, zakres ten będzie powiększany. Wykłady objęli honorowo pp. red. Wacław Dresler i prof. dr. Kurc (język czeski) oraz prof. Benesic (język serbo-chorwacki). Nauka podzielona jest na pięć semestrów, obejmujących po 21 lekcyj i 10 wspólnych wykładów literatury (w niedziele). Liczba zapisanych wynosiła w dniu otwarcia ponad 200 osób.

Staraniem Towarzystwa Polsko-Czechosłowackiego odbył się dnia 20 kwietnia w lokalu Stow. Kupców w Warszawie wieczór towarzyski, na którym red. W. Dresler wygłosił odczyt na temat stosunku Czechosłowacji do państw europejskich. W krótkich słowach skreślił prelegent sytuację wytworzoną przez upadek państw zaborczych, uzyskanie niepodległości przez Czechosłowację, oraz dążenie młodego Państwa do ustalenia sobie należytego miejsca, tak pod względem umysłowym jak i materjalnym, wśród państw europejskich, przyczem dał subtelną charakterystykę ustosunkowania się Czechosłowacji do każdego z nich, z podkreśleniem ogólnej tendencji pacyfistycznej.

Odpowiedź

K. Irzykowskiemu

Artykuł „Szydło z worka" napisany w stylu szewskim nie wymagałby odpowiedzi, gdyby nie chwyty przekręcające zupełnie artykuł „Jak zwalczyć kryzys".

Nie powiedziałem więc, że litość jest absurdem. Uważam, że *naiwna litość* jest absurdem, jako będąca faktycznie bezmyślnem okrucieństwem. Ratowanie nóg kosztem głowy jest mordowaniem tychże nóg wraz z głową.

Nie mówiłem, że nędza niema wpływu na rozwój *istniejącego* talentu, lecz że talent *powstaje* bez wpływu warunków gospodarczych. Dziecko plutokraty bywa idjotą, a proletarjusza — genjuszem.

Wszyscy literaci zgodzą się chyba na to, że powodzenie jest miarą uzdolnienia ale oczywiście pod warunkiem prawa podaży-popytu. Mickiewicz w oryginale nie ma żadnego powodzenia na rynkach obcych, oraz na rynku kucharek, gdzie ma powodzenie sennik egipski.

Pan K. I. twierdzi, że źródła kapitału bywają najczęściej niemoralne. Zgoda na to. Ale źródło płacy zamiataczy gazowni jest też niemoralne, gdyż jest nim strajk, szantaż, wymuszenie i to nie na kapitalistach, lecz na najbiedniejszych proletarjuszach.

Z niemoralnością trzeba walczyć. I ta walka się toczy (toczy ją m. in. socjalizm i p. Irzykowski), ale ze skutkiem przeciwnym do zamierzonego, gdyż według subjektywnych, jednostronnych, a więc błędnych, sprzecznych pojęć moralności. Kierując się takiemi pojęciami ludzkość popadła dziś w taki zamęt, że przedstawia on sobą — jak ktoś powiedział — węzeł gordyjski, którego nawet rozciąć nie można.

Rozciąć go rzeczywiście nie można, ale trzeba rozwiązać pod rygorem zagłady świata cywilizowanego. Rozwiązywać go zaś, to tępić pojęcia jednostronne, łatwe i często efektowne, ale posiadające wartość błędnego ognia nad trzęsawiskiem. Inaczej — to okłamywać życie, tworzyć wszechstronne, syntetyczne pojęcia. Drugą np. stroną medalu paskarstwa („genjusz paskarza" pana I. K.) występującego tylko tam, gdzie produkcja jest niedostateczna, będzie ochrona społeczeństwa przed powszechnym głodem, gdyż paskarz, ukrywając towary i podnosząc ceny, zmusza społeczeństwo do „zaciskania pasa".

O przenikliwości p. K. I. źle świadczy jego przekonanie, że artykuł „Jak zwalczyć kryzys" „ucieszył serce komunisty", czyli że jest on skierowany wyłącznie tylko przeciw P.P.S. czy innemu różowemu odłamowi socjalizmu.

W. Sikorski.

Kronika

Międzynarodowa wystawa książki rozpoczęła się w Florencji dn. 20 b. m.

W Krakowie dn. 6 b. m. odbył się w sali Bolońskiego wieczór poświęcony twórczości Norwida, poprzedzony odczytem L. Skoczylasa. Na stronę deklamacyjną, obok drobnych wierszy, złożyły się fragmenty z „Promethidjona" i „Krakusa". Recytowali p. p. Modrzewski, Straszewski i W. Nowakowski.

Nagroda muzyczna m. st. Warszawy, przypadła w roku bieżącym E. Młynarskiemu za całokształt działalności muzycznej. W skład jury weszli: W-prez. Mayzel prez. Słomiński. pp. Neronowicz, Szpilewska, Walery Jastrzębiec, del. Min. W. R. i O. P. W. Maliszewski, prof. Kochański, prof. Maklakiewicz, prof. Chromiński, dyr. Mazurkiewicz, p. Cichocki i p. Natanson.

Nagrodę naukową m. st. Warszawy przyznano dnia 22 b. m. prof. Emilowi Godlewskiemu za pracę z dziedziny embrjologji.

Do sądu konkursowego weszli obok reprezentantów m. st. Warszawy prof. S. Kwiatkowski, prof. W. Bachr, dr. K. Bassalik, dr. M. Korczewski i dr. L. Paszkiewicz.

Wieczór kompozycji muzyki tanecznej odbył się dnia 18 b. m. w sali Konserwatorjum Warszawskiego. Stronę taneczną reprezentowała szkoła p. Mieczyńskiej zajmująca dziś — dzięki poszukiwaniu nowych, istotnych dróg muzycznych w tańcu — pierwsze miejsce w Warszawie. Wyróżniły się kompozycje taneczne pp. Mieczyńskiej i Piętakowej (zwłaszcza kompozycje rodzajowe). Jako indywidualność taneczna wybiła się młodziutka p. Buczyńska obdarzona dużą ekspresją.

Kompozycję muzyczną reprezentowali pp. Niewiadomski, Niekraszowa, Kondracki, Maklakiewicz i Walijewski.

Kazimierz Leczycki, autor „Sztuby", napisał nową sztukę p. t. „Książę", która będzie grana w sezonie jesiennym. Wkrótce ukaże się też jego powieść p. t. „Rok dwudziesty".

„Górski wieniec" Njegosa, władyki czarnogórskiego ukazał się w dobrym przekładzie Henryka Batowskiego, jako tom trzeci „Bibljoteki Jugosłowiańskiej", wydawanej w Warszawie pod redakcją prof. Juljusza Benesica, wybitnego pisarza chorwackiego, tłumacza kilkudziesięciu dzieł polskich; jest to rzecz piękna i nader ciekawa, niektóre ustępy nacechowane są wysokim polotem poetyckim (Skł. gł. Dom Książki Polskiej).

Książki i czasopisma nadesłane

Petar Petrovic Njegos: Górski wieniec. Wydarzenie dziejowe z końca XVII stulecia. Ze studjum krytycznem Branka Lazarevića. Przełożył, wstępem i komentarzem opatrzył Henryk Batowski. Bibljoteka Jugosławiańska pod red. prof. Juljusza Benešica. Warszawa 1932. Dom Książki Polskiej S. A. str. 161.

Michał Rusinek: Burza nad brukiem. Powieść. Warszawa 1932. Nakł. Gebethnera i Wolffa. Str. 180.

Dr. Bolesław Chomicz: Odbudowa kapitału Ojczystego. Rola i zadania komunalnych Kas Oszczędności. Warszawa 1930. Str. 19.

Leon Kruczkowski: Kordjan i cham. Powieść. Kraków 1932. Gebethner i Wolff. str. 365.

Zenon Posner-Szczygielski: To co nie m ja. Dramat. Warszawa 1932. Skł. gł. Dom Książki Polskiej S. A. Str 54.

Stanisław Bąkowski: Z raju i podziemia. Poezje. Warszawa 1931. Nakł. F. Hoesicka. Str. 63.

Głos plastyków (styczeń i luty 1932, nr. 1 i 2), miesięcznik poświęcony sztukom plastycznym. Treść nru 1-go: Prof. dr. J. Nowak: Projekt Galerji Współczesnej w Krakowie; Sprawa zagrożonej fundacji Leona hr. Pinińskiego na Wawelu; Henryk Gotlib — Zagadnienie odrębności polskiego malarstwa; Józef Jarema — Opinje; Tytus Czyżewski — List z Warszawy. Treść nru 2-go: Dr. J. Dobrzycki: Sprawa wikarówki kościoła Marjackiego w Krakowie; Jan Cybis — Maurycy Gotlib (1856 — 1879); Henryk Gotlib — Malarstwo żydów; Dr. T. Seweryn — Polska Akademja Umiejętności o sztuce; kronika. Adres red i adm.: Kraków, plac św. Ducha 5; Dom Artystów.

Prom. Miesięcznik poetycki; rok 1, nr. 1 zawiera: art. wstępny: Zarys poetyckiej ewolucji; wiersze Bronisława Przytulskiego, Juljusza Kapuścińskiego, Allana Koski, Eugenjusza Morskiego i Edwina Herberta. Prócz tego art. pt.: Lekcja logiki (U. J.): recenzje i kronikę. Adres red. Poznań, Ratajczaka 29.

Józef Czechowicz: Ballada z tamtej strony. Warszawa 1932. Bibljoteka „Drogi" str. 50.

Roman Kołoniecki: Kryształ młodości. Wiersze 1927—1932. Warszawa 1932. Wydawnictwo „Droga". Str. 168.

Franciszek Lipiński: Wrażenia. Poezje. Kraków 1930. Nakł. księg. „Stella" w Katowicach. Str. 40.

Karol Koźmiński: Queretaro. Powieść. Warszawa 1932. Nakł. Głównej Księgarni Wojskowej str. 280.

Nowe Państwo (nr. 4) pismo poświęcone zagadnieniom życia państwowego i międzynarodowego, wychodzące pod red. prof. **Wacława Makowskiego** zawiera w swym ostatnim zeszycie liczącym str. 66 dalszy ciąg ankiety konstytucyjnej. Głos w niej zabierają tym razem: prof. dr. Stanisław Kutrzeba, prof. dr. Leon Piniński, dr. M. Starzewski i dr. J. Siemieński. Prócz tego nr. zawiera artykuły: prof. Makowskiego: Ku państwu społecznemu, L. Gembarzewskiego: Nowa konstytucja jugosłowiańska i K Zieleniewskiego: Bibljografja spraw ustrojowych.

Ostatni numer **Grafiki** przynosi bardzo ciekawe, starannie opracowane studjum historyczne o polskim pieniądzu papierowym, artykuł Siczyńskiego o grafikach ukraińskich we Lwowie i bardzo fachową, interesującą pracę p. L. Tyrowicza o kwasorycie. Zwraca uwagę — jak zwykle zresztą w tem czasopiśmie — piękna forma zewnętrzna i wysoki poziom techniczny.

REDAKCJA: Warszawa — Jerzy Braun, Inżynierska 7 m. 30. Telefon 10-20-58. Kraków — Tadeusz Kudliński, Słoneczna 15 m. 9
ADMINISTRACJA: Warszawa: Inżynierska 7 m. 30. Tel. 10-20-58. Kraków: Feliks Setkowicz, Słoneczna 15 m. 9 Lwów: Józef Radzimiński, Strzała 8. Tel, 40-35. Konto P. K. O. 153.210.
Prenumerata: kwartalna 3 zł., półroczna 5 zł., roczna 10 zł. Druk: T-wa Polskiej Macierzy Szkolnej, Warszawa, Elektoralna 18. Telefon 292-94.